



kiedy mieszkanie buduje fabryka

WIEDEN'

DOM NA PAWIEJ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 32 (1026)
7 SIERPANIA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



PRZEMYSŁ

JACEK INDELAK

NADZIEJA DLA POLSKIEGO LNU

Znajoma zawiozła do Paryża — na uprzednie zamówienie — oryginalny prezent — prześcieradła z lnianej surówki. Przedsiębiorcze paryskie dziewczyny uszyły z owych prześcieradeł supermodne, szalowe kreacje, czyli prymitywne kitle, zwane przez dyktatorów awangardowej mody — więźniarkami. Taką więźniarką musi koniecznie wyglądać jak psu z gardła wyciągnięta. Jest ona na Zachodzie piórniako droga. Przesądza o tym surowiec, z jakiego jest wykonana. Len zyskał bowiem patent najwyższej nobilitacji. Posiadanie lnianej pościeli stało się luksusem po prostu.

LEN

Len — Linum — rodzaj z rodziny Inowatych obejmuje około 200 gatunków roślin dzikich i uprawnych. Najbardziej rozpowszechniony — w ZSRR, Brazyli, USA, Holandii, Belgii, Czechosłowacji, Polsce... Jest len zwyczajny — Linum usitatissimum — czyli jednoroczna roślina z niebieskimi pięciopłatkowymi kwiatami, które (jeszcze jeden fenomen natury) otwierają się rano, żeby do południa — przekwitnąć. Ale jest też len oleisty i włóknisty. Ten ostatni — o łodydze liczącej około metra — zajmuje trzy czwarte polskiego lnianego arealu. Nasi hodowcy uprawiają wiele odmian, z których najcenniejszymi są takie, jak „Lazur”, „Swadzimski”, „LCSD-207” i „LCSD-210”.

Len wymaga gleby o odpowiednim składzie i wilgotności, umiejętnej nawożenia i skrupulatnej ochrony. Niekąją go bowiem takie wymyślne choroby, jak antraknoza, mączniak, rdza czy szara pleśń, atakują oryginalne szkodniki, jak pchełka lnowa, zwójka lniankówecka, długostopka lnowa czy wreszcie — nomen omen — wciornastek lnowiec.

Kiedy len ostanie się chorobom i szkodnikom, kłębom suszy i dżdżow, liście jego pożółkną, a dolne zacząją już opadać, czas na lniane żniwa, potem zaś na rośnienie. Rośnienie zaś to — mówiąc najogólniej — oddzielenie włókien ze słomy lnianej droga

Dalszy ciąg na str. 7

BUDOWNICTWO



KIEDY MIESZKANIE BUDUJE FABRYKA

CZYTAJ NA STRONIE 6

EGZAMINY

TOMASZ
SOLDENHOFF

NIE BYŁO ORLÓW

Zjechali się z całej Polski. W gazetach przeczytali, że każdy z nich chcąc otrzymać indeks, musi w pobitym polu zostawić 8 konkurentów. 1 lipca, pochyleni nad nie zapisanymi jeszcze kartkami papieru usłyszeli: Egzamin jest konkursowy. Zabrzmiło to jak ostrzeżenie: Jeszcze jest pora się wycofać.

Tymczasem zmalała ilość miejsc. 8 zajęli olimpijczycy i prymusi wytypowani przez szkoły. Jeszcze kilka przeznaczono do dyspozycji rektora. Prawie 200 kandydatom na studia stacjonarne przyszło zatem walczyć o... 15 miejsc.

PIERWSZA PRZESZKODA

Egzamin pisemny. Spodziewali się tematów ściślej związanych z profilem przyszłych studiów. Ale czy wszyscy naprawdę wiedzieli, jaki to właściwie jest „profil”?

— Nie kształcimy w kierunku „amatorsko-kulturalnym”, nie interesują nas „zajęcia świetlicowe” — mówi dyrektor Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ prof. dr Bolesław W. Lewicki. — Wiele jednak spodziewa się, że damy im właśnie tego typu wiedzę. Przygotowujemy przyszłych nauczycieli teatrologii i filmoznawstwa, naukowców, pracowników teatrów, wytwórni filmowych, ośrodków TV w działach: programowym, realizatorskim i montażowym, redaktorów, publicystów i krytyków oraz wykwalifikowane kadry dla instancji zarządzających kulturą.

A zastępca dyrektora Instytutu, dr Sławomir Świątek dodaje:

— Źródłem nieporozumienia jest nazwa. Przeszła ona na nasz kierunek z Uniwersytetu Wrocławskiego, który faktycznie kształcił działaczy kulturalno-oświatowych. Nazwa łódzkiego kulturoznawstwa powinna brzmieć: teatrologia i filmoznawstwo.

Palców obu rąk wystarczy, aby zliczyć tych, którzy odważyli się na temat „Moja ocena literatury i sztuki polskiej ostatniego dwudziestolecia”. Po egzaminach pisemnych w tłumie szturmujących zrobiło się luźniej (odpadła 1/3). Niemal pusto zaś wśród chętnych na studia zaoczne.

Dalszy ciąg na str. 8

NA MAPIE ŚWIATA

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NAD MORZEM CZERWONYM

Nad Morzem Czerwonym — pasem wody oddzielającym Afrykę od Azji — po stronie afrykańskiej leżą: Egipt, Sudan, Etiopia, Dżibuti, Somalia. Po stronie azjatyckiej — na Półwyspie Arabskim — Arabia Saudyjska, Jemen i Ludowo-Demokratyczna Republika Jemuenu, zwana też Jemenem Południowym. Rejon ten stał się ostatnio terenem ważnych wydarzeń politycznych, które na granicy Egiptu i Libii oraz na granicy Etiopii i Somalii przerodziły się w zbrojne starcia. Między Libią i Egiptem doszło do zawieszenia broni. Natomiast we wschodnio-południowej prowincji Etiopii — w Ogadenie walki trwają nadal. Walki te toczą się w północnej prowincji Etiopii — w Erytrei.

Róg Afryki

Jeśli uważnie przyjrzyć się mapie Afryki w jej wschodniej części, tam gdzie wąska cieśnina Bab-el-Mandeb oddziela Półwysp Arabski od Afryki, gdzie swe wody rozlewa Zatoka Adenka, tam ląd Afryki ostro kieruje się na wschód, tworząc coś w rodzaju ostrego rogu oblanego wodami Oceanu Indyjskiego. To jest właśnie niespokojny Róg Afryki, na którym leżą dwa kraje: Somalia i Etiopia. U nasady Rogu Afryki, ostro wcinając się w terytorium Etiopii, leży od kilkunastu dni zaledwie niepodległe Dżibuti.

W Demokratycznej Republice Somalii program przeobrażenia społecznego realizowany jest pod kierownictwem utworzonej w 1976 roku Somalijkiej Rewolucyjnej Partii Socjalistycznej, na czele której stoi prezydent Somalii — gen. Zijad Barre. Celem tego programu są socjalistyczne przeobrażenia społeczne. Program taki realizowany jest od 1969 roku. Zdaniem francuskiego dziennikarza z „Le Monde” — niezbyt przychylnego socjalizmowi — w Somalii powiodł się „eksperyment” i osiągnęła ona poważne postępy w osiedlaniu koczowniczych, w mobilizacji siły roboczej do realizacji zadań gospodarczych, planowaniu i w wyposażeniu kraju w wyposażenie techniczne. Pomoc w realizacji tego programu udzielił Somalii Związek Radziecki. Również ZSRR pomógł w wyposażeniu armii somalijskiej, która zalicza się do jednych z najlepiej wyposażonych i wyszkolonych armii w Afryce.

W Etiopii cesarz Hajle Sellasje I został obalony we wrześniu 1974 roku, a władzę przejął Tymczasowy Wojskowy Komitet Administracyjny, który proklamował rewolucję narodowo-demokratyczną. W ten sposób Etiopia zamknęła pewien etap swojej przeszłości trzyczasytletniej historii i weszła na drogę, która miała ten biedny kraj wyprowadzić ze średniowiecznego i feudalnego za-

cofania. W grudniu 1974 roku Tymczasowy Wojskowy Komitet Administracyjny (DERG) ogłosił, że Etiopia obiera socjalistyczną drogę rozwoju. Program etiopskiej rewolucji ustala, że marksizm-leninizm staje się oficjalną państwową filozofią, która będzie określała politykę wewnętrzną i zewnętrzną Etiopii. Etiopia dąży więc będzie do całkowitego obalenia feudalizmu, a także kapitalizmu, podejmując takie przedsięwzięcia gospodarcze, społeczne i polityczne, które mają stworzyć podstawę dla socjalistycznych przemian w tym kraju.

Na początku maja 1977 roku „Prawda” opublikowała tekst przemówienia przewodniczącego „DERG” — Mengistu Haile Mariama, wygłoszonego z okazji jego pobytu w ZSRR. W przemówieniu tym Mengistu Haile Mariam powiedział między innymi:

„Celem programu-minimum jest zapewnienie całkowitego zwycięstwa uciskanych narodów Etiopii. Zapewniam o rewolucyjnym klasom i organizacjom możliwość utworzenia wspólnego frontu pod kierownictwem partii klasy robotniczej oraz ustanowienie Ludowo-Demokratycznej Republiki Etiopii. Program zapewnia demokratyczne rozwiązanie palącej kwestii narodowej, która stanowi jedną ze sprzeczności pozostawionych przez poprzedni system na wół feudalny i na wół kapitalistyczny. Program gwarantuje równość religii i plemi”.

Tragedia współczesnej Afryki

jest spuścizną kolonializmu, okresu, w którym państwa kolonialne podzieliły między siebie obszar Afryki, kierując się interesami własnymi, a nie podbijanych i wysydkiwanych ludów. Takie było wilcze prawo kolonializmu. Ale skutki tego cierpią współcześni mieszkańcy różnych rejonów tego kontynentu. Państwa afrykańskie otrzymywały bowiem niepodle-

głość w takich granicach, jakie kiedyś ustanowili kolonizatorzy. Niepodległe państwa afrykańskie rozpoczęły więc swój własny żywot, najeżony wieloma trudnościami i kłopotami, których sobie nawet Europejczyk nie jest w stanie wyobrazić. Coś podobnego przytrafiło się również Etiopii i Somalii. Wspólne dążenia społeczne i ideologiczne nie potrafiły zbliżyć tych krajów do siebie, pojeńdzać ich i nie spowodować, jak do tej pory, aby konflikty terytorialne można było rozpatrywać i załatwić w drodze pokojowej. Doszło do walki. I to na dwa frontach jednocześnie.

Erytrea zajmuje wąski pas wybrzeża nad Morzem Czerwonym, rozszerzając się jedynie w granicy z Sudanem. Stolicą północnej prowincji Etiopii jest miasto Asmara. W XIX wieku Erytrea stała się kolonią włoską. Wyzwolona przez wojska angielskie w 1941 roku przeszła pod ich zarząd. W 1952 roku ONZ przekazała Erytreę Etiopii, jako prowincję posiadającą autonomię i wchodzącą na zasadach federacji do Etiopii. W 1962 roku cesarz Etiopii Hajle Sellasje I przyłączył Erytreę do Etiopii pozostawiając ją autonomii. Od tej też pory zaczął się ruch separatystyczny Erytrei, przybierający z latami na sile i znajdujący protekcję u niektórych państw arabskich. Walkę o niezależnienie się Erytrei prowadzą: Ludowy Front Wyzwolenia Erytrei, skupiający siły lewicowe oraz nastawiony bardziej nacjonalistycznie Front Wyzwolenia Erytrei. Oba te ugrupowania połączyły się, prowadząc wspólną walkę zbrojną. Dają one do całkowitego niezależnienia politycznego Erytrei od Etiopii, deklarując jednak utrzymanie nadal więzów gospodarczych.

Morze Czerwone

nie jest prywatną własnością — tak stwierdził przewodniczący Tymczasowego Wojskowego Komitetu Administracyjnego podczas wspomnianego już pobytu w ZSRR. Powiedział on wtedy:

„Imperializm i reakcyjne arabskie klasy rządzące a przede wszystkim klasa rządząca Sudanu, jednocześnie reakcyjne separatystyczne elementy Erytrei, obecnie bardziej niż kiedykolwiek przedtem dokonują zbrojnej agresji na nasz kraj licząc na odwrócenie Erytrei od Etiopii i ustanowienie pełnej strategicznej kontroli nad Morzem Czerwonym”.

Mengistu Haile Mariam dodał jeszcze:

„Wokół Morza Czerwonego podejmowane są kroki sprzeczne z interesami pokoju. Etiopia, która ma wiele wysp na Morzu Czerwonym i znaczny obszar jego wybrzeża, uważnie śledzi rozwój poważnych wydarzeń w tym rejonie. Morze Czerwone nie sta-

nowi prywatnej własności jednego lub kilku krajów. Było i pozostanie wolnym międzynarodowym szlakiem morskim i w interesach pokoju należy zachować nadal taką sytuację”.

Jednakże nad Morzem Czerwonym krzyżują się różne dążenia. Nie wolno zapominać o dążeniu Arabii Saudyjskiej do przekształcenia Morza Czerwonego w „morze arabskie”. Usiłuje ona — przy poparciu innych państw arabskich — wykorzystywać różne konflikty i sprzeczności, aby osiągnąć zamierzony cel. A w Rogu Afryki jest to tym łatwiejsze, że między Etiopią i Somalią leży — niczym kość niezgody — Ogaden. Nacjonalizm somalijski, dążenie do stworzenia „Wielkiej Somalii” jest bardzo na rękę arabskim tendencjom do stworzenia „arabskiego morza”.

Ogaden został przyłączony do Etiopii w XIX wieku przez cesarza Menelika. Skolonizowany przez Amharów nie wylżył się jednak tendencji odśrodkowych. Walką tą kieruje obecnie Narodowy Front Wyzwolenia Zachodniej Somalii, ale, jak wynika z doniesień agencji, z tego rejonu Afryki, w walkach o Ogaden wzięły też udział wojska somalijskie.

Fidel Castro w wywiadzie dla pisma „Africque Asie” dał bardzo wysoką ocenę etiopskiej rewolucji, nie kryjąc jednak, że będzie ona musiała pokonać ogromne trudności wynikające z uwarunkowań wewnętrznych i zewnętrznych. Powiedział on między innymi:

„W Etiopii jesteśmy świadkami głębokiej rewolucji, potężnego ruchu masowego. Realizowana jest reforma rolna o szerokim zasięgu w kraju feudalnym, gdzie chłop praktycznie biorąc był niewolnikiem. Wprowadzone zostały również reformy urbanistyczne, a główne gałęzie przemysłu objęte nacjonalizacją. Uważam, że rewolucja etiopska łączy cechy charakterystyczne rewolucji francuskiej i rewolucji bolszewickiej, gdyż przywódcę etiopską prowadzili rewolucję antyfeudalną, a równocześnie dążyli do socjalizmu. Podobnie jak w rewolucji francuskiej i bolszewickiej towarzyszy temu zacięta walka klasowa między robotnikami i chłopami z jednej strony a grupą burżuazji z drugiej. Co więcej, kraj ten jest zbrodniczo napastowany z zewnątrz przez reakcję arabską, wspomaganą przez imperializm. (...) Aczkolwiek rewolucja etiopska będzie musiała stawiać czoła silnym wrogom, naród zdecydowany jest walczyć. W tym przypadku zwycięstwo rewolucji nie będzie łatwe”.

Fidel Castro próbował też załagodzić konflikt między Etiopią a Somalią dotyczący Ogadenu. Proponował on przywódcom obu państw porozumienie, które doprowadziłoby do utworzenia przez Etiopię autonomicznych prowincji przygranicznych. W ten sposób Fidel Castro chciał przyczynić się do pokojowego rozwiązania kwestii Erytrei i Ogadenu.

Sila sprzeczności

pecha jednak niektóre kraje afrykańskie do innych rozwiązań. A tę silę

wykorzystują dla własnych planów te kraje — w tym przypadku kraje arabskie — które mają zupełnie inne zamiary i którym nie na rękę są wszelkie postępowe przeobrażenia dokonujące się w Afryce czy w Azji.

Ostatnio można było na przykład obserwować rozwijający się „flirt” między Somalią a Arabią Saudyjską. W marcu 1977 roku w Arabii Saudyjskiej przebywał minister spraw zagranicznych Somalii — Omar Arteih. W kwietniu 1977 roku minister spraw zagranicznych Arabii Saudyjskiej — książę Saud brał udział w stolicy Somalii — Mogadiszu w uroczystościach otwarcia meczetu, który wybudowano zresztą za saudyjskie pieniądze. Prezydent Somalii — Zijad Barre wysłał do króla Arabii Saudyjskiej — Chalida ibn Aod al-Aziz as-Sauda serdeczny telegram w czasie jego pobytu w londyńskim szpitalu. W marcu 1977 roku w Somalii przebywał prezydent Sudanu — D. M. en-Nimeiri. Również w marcu Zijad Barre uczestniczył w Taz w Jemenie Północnym w „szczyście arabskim”.

Dobre stosunki z państwami sąsiadującymi, kierującymi się innymi zasadami politycznymi i filozoficznymi, nie są niczym złym, a przeciwnie sprzyjają odprężeniu, pozwalają na rozładowanie różnorodnych napięć. Ale w tym wypadku chodzi zupełnie o coś innego. Jak wynika z ostatnich doniesień agencji, prezydent Somalii przebywał w Arabii Saudyjskiej, która obiecała mu pomoc wojskową. Również Stany Zjednoczone przychyliły się do sugestii Somalii i zdecydowały się sprzedać jej sprzęt wojskowy. „Ograniczone dostawy broni” zapewnia Somalii także Wielka Brytania. Nie obyło się to wszystko bez pośrednictwa Arabii Saudyjskiej. Taki był właśnie cel „flirtu” z najbardziej reakcyjnym państwem arabskim.

A czym się taki „flirt” kończy? Przykładem tu może być Egipt. Prezydent Anwar el-Sadat oświadczył niedawno, że Arabia Saudyjska przez 5 lat będzie finansowała rozwój sił zbrojnych Egiptu. Porozumienie to zawarte w ubiegłym roku jest już realizowane. A jaka jest cena tego porozumienia i tej pomocy? Oto w Egipcie ogłoszono projekt ustawy, która przewiduje karę śmierci dla każdego muzułmanina, który chciałby odstąpić od swojej wiary. Za krzywdę natomiast ma być winnym ucinana lewa ręka. Projekty te są inspirowane przez konserwatywnych muzułmańskich ideologów, którzy również projektują ogłoszenie ustaw o karze publicznej chłosty dla pijaków i kobiet winnych cudzołóstwa. Prawa te są bardzo zbliżone do praw, jakie do tej pory obowiązują w Arabii Saudyjskiej.

Egipt, chcąc się przypodobać bogatemu sąsiadowi zza Morza Czerwonego, cofa się z dotychczasowej drogi rozwoju, odrzuca ideały rewolucji nasserowskiej i atakuje swego arabskiego sąsiada od zachodu — Libię. Taka jest między innymi cena saudyjskiej pomocy.

ARCHIWUM

POWRÓT POETY

W 1898 r. młodzież akademicka Galicji wystąpiła z propozycją sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego do kraju. Propozycja ta zainteresowała młodzież studującą za granicą, jak też niektóre grupy społeczeństwa polskiego. W Krakowie powołano specjalny komitet pod kierunkiem Adama Bełkowskiego, zadaniem którego było zrealizowanie tej inicjatywy. Na łamach czasopism „Życie”, „Słowo”, „Przegląd Wielkopolski” oraz „Wspólne Słowo Polskie” rozgorzała ostra dyskusja nad tym projektem.

Szczególnie ostro wystąpił w „Życiu” Stanisław Pienkowski, stwierdzając, że naruszenie grobu Słowackiego byłoby niezgodne z prawem i byłoby „potwarzą” dla poety. W rezultacie takich sprzeciwów,

a także z powodu braku funduszy, inicjatywa galicyjskiej młodzieży akademickiej odłożona została na czas późniejszy.

W roku 1909 — w 100 rocznicę urodzin poety — ponownie powrócono do sprawy sprowadzenia jego prochów. 3 kwietnia w Krakowie powołano Komitet Ogólnopolski sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego. Przewodził mu Piotr Chmielowski. Uchwalono wówczas rezolucję o konieczności złożenia prochów poety na Wawelu. W niedługim czasie komitet uzyskał zezwolenie rządu francuskiego na dokonanie ekshumacji z cmentarza Montmartre. Metropolita krakowski, kardynał J. Puzyna, nie wyraził jednak zgody na złożenie prochów Juliusza Słowackiego w katedrze wawel-

skiej. Wobec nieprzychylnych postaw kardynała, zaczęto zastanawiać się nad innym miejscem, godnym złożenia prochów poety. Najbliższym był projekt złożenia zwłok w Tatrach, na turni Kościelca nad Czarnym Stawem, zaproponowany przez H. Sienkiewicza, I. Witkiewicza i T. Miculskiego. Ale i te wszystkie projekty nie doczekały się realizacji.

11 maja 1924 roku z inicjatywą krakowskiego oddziału Związku Literatów Polskich powołano do życia nowy komitet, na czele którego stanął J. Kallenbach. Ponownie uchwalono rezolucję o złożeniu prochów Juliusza Słowackiego na Wawelu. Inicjatywę literatów poparło całe społeczeństwo. Zyskała ona też aprobatę rządu ówczesnej Polski. Zgodę na złożenie prochów poety na Wawelu wyraził kardynał Sapieha.

14 czerwca 1927 r. na cmentarzu Montmartre w Paryżu, na prośbę prof. J. Talko-Hryniewicza dokonano ekshumacji zwłok J. Słowackiego. Uczestniczyli przy niej: ambasador polski — A. Chłapowski, ówczesny konsul RP — K. Poznański. Literatów polskich reprezentował — J. Lechoń, obecnie był także prof. E. Pożarski i grupa antropologów, pracują-

ca pod kierunkiem dra G. Papiłlanta. W związku z ekshumacją zorganizowano w Paryżu szereg uroczystości dla uczczenia pamięci poety.

Trumna, zaopatrzona w specjalny paszport, wydany przez konsulat polski, wypłynęła do kraju z portu Chelbourg na statku „Wilja”. 20 czerwca 1927 r. o godz. 5.30 statek przybył do Gdyni, gdzie po uroczystościach żałobnych przeniesiono ją na torpedowiec „Mazur”, na którym odpłynęła do Gdańska. Dalszą drogę do Warszawy trumna z prochami poety przybyła statkiem wiślanym „Mickiewicz”. Na trasie tego specjalnego konduktu żałobnego, w miastach i miasteczkach odbywały się uroczystości żałobne.

26 czerwca 1927 r. trumna przybyła do Warszawy. Tu uroczystości żałobne odbyły się na Placu Zamkowym. Następnego dnia specjalnym pociągiem przewieziono trumnę do Krakowa. Pociąg zatrzymał się na wielu stacjach (Koluszki, Piotrków, Radomsko, Sosnowiec, Katowice), a przy mijaniu innych miast zwalniał bieg.

W Krakowie prochy poety wystawiono na widok publiczny w specjalnie zbudowanej na ten cel kaplicy w Barbakanie. Rankiem następnego dnia orszak pogrzebowy ruszył na Wawel. Kulminacyjny moment uroczystości odbył się na podwórzu Zamku Wawelskiego. Z ramienia rządu Rzeczypospolitej hold Juliuszowi Słowackiemu złożył marszałek Józef Piłsudski.

W taki to sposób, dopiero po 27 latach, zrealizowano projekt młodzieży Galicji. Dzięki temu spełniło się życzenie Juliusza Słowackiego, wyrażone kiedyś w liście do matki słowami:

„Ludzie, którzy mnie teraz zapominają, może będą kiedyś pamiętać o mnie, a kiedy przyślą tutaj wygrzebywać popioły leżące na cmentarzach, może także i mnie wezmą i zanoszą do mojej ziemi”...

ALEKSANDRA KRONIC

INFORMACJE

Życie kulturalne Bełchatowa

W Bełchatowie działa wiele placówek kulturalnych. Ostatnio nawiązano współpracę z Teatrem Wielkim w Łodzi, organizuje się także coroczne plenery plastyków-amatorów, giełdy hobbystów. Największym wydarzeniem kulturalnym tego roku będzie międzynarodowy plener plastyczny.

Fakty 77

Laureatem tegorocznej nagrody bydgoskiego tygodnika społeczno-kulturalnego „Fakty 77” został Władysław Dunarowski. Nagroda przyznana została za całokształt twórczości literackiej, stanowiącej dokument przemian jakie dokonywały się na polskiej wsi w okresie władzy ludowej.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny) RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

ZBIGNIEW BURACZYŃSKI

KARTA INFORMACYJNA

Szedłem ciemnymi ulicami, po-tykając się o zapatrzone prze-choźniaki, zmierzających do celu...

Tylko to zimno! Samochód zatrzymał się przed dwunastym blokiem, chronio-nym metalową brunatną siat-ką...

prawdziwego oblicza; spoglądają-cej z dziecięcą zdumieniem do-łębłości? Jak wiele czerpałem radości z chwil, które ona zamie-niała w baječný watek akcji to-czącej się gdzie w oddali...

W kabine samochodu ciężaro-wego, zwłaszcza gdy silnik przez jakiś czas pracuje, nie odczuwa się zimna nawet gdy na zew-nątrz panuje mroź...

- Zabiłeś łobuzie dzieciaka! Nie trzeba było ruszać - wrze-szczała mi prosto w nos wsie-klia, nieogolona twarz...

- Dwa razy człowiek by umarł, im się nie śpieszy... - Jak by tak do jakiegoś figu-ranta, to by już dawno był...

CZESŁAW MARCZAK

PLAMY

- O Jezul! - Ty gnoju! - Co robisz?! - Krzyk kierowcy zabrzmiał równocześnie z chybotliwym zarzucaniem tyłu hamowanego pojazdu...

ciem przycisk dzwonka. Na dole trzasnęły zamknięte drzwi. To ta stara kobieta. Za drzwiami pana Pertkiewicza zaszczekał pies...

- Dwa razy człowiek by umarł, im się nie śpieszy... - Jak by tak do jakiegoś figu-ranta, to by już dawno był...

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

Kładzie się cień na wszystkie sprawy moje Odchodzi dzień - nikt o nim nie pamięta Nadchodzi mrok - z nim cisza niepojęta...

LAUREACI KONKURSU NA MAŁE FORMY PROZY - „DEBIUTY 77“ Rozstrzygnięty został konkurs na małe formy prozy dla osób, które dotychczas nie publikowały swoich utworów...



Foto: W. Parys

MIROSLAW KUŹNIAK

DOM na PAWIEJ

— Każdy z nas ma swój punkt na mapie — mówi wolno, silnie akcentując końcówki każdego zdania — punkt, od którego zaczął wędrówkę przez życie. Może to być miasto, miasteczko, wieś. Czasem jest to tylko ulica, niekiedy zaś zwykły dom. Nieważne jest to, czy urodziłeś się w tym mieście, w tym domu, na tej ulicy, czy tylko mieszkałeś tu przez jakiś czas. Ważne, że dla ciebie stał się ten punkt serdecznym miejscem, od którego później, w starości uśmiechniesz się, gdy jak odległe echo wraca przypomnienie tamtoczesnych zdarzeń. Powie ktoś: to starość. Ja powiem: prawidłowość. Obaj się zgodzimy: starość żyje przeszłością, no bo u licha, czymże ma żyć, jeśli z trzech czasów danych człowiekowi dwa — przyszłości i teraźniejszości tracą dla niego znaczenie? Czym jest teraźniejszość dla staroego, schorowanego człowieka nie musi chyba mówić. Przyszłość zaś jest tylko wysokim, niedostępnym murem, na który wdrapią się młodszy, mocniejsi, zdrowsi.

Mój serdeczny punkt, to mała, wąska, bałucka uliczka. Noś śmieszna nazwa: Pawia. Nie wiem, kto ją tak ochrzcił, ale chyba miał poczucie humoru, bo Pawia zawsze była przeciwieństwem tego pięknego ptaka. Nie mogła puszyc się ani kocmi lbami, ani drewnianymi domkami ani mieszkańcami: robotnikami bałuckich fabryk, a przede wszystkim tej największej, Izraela Poznańskiego.

W jednym z tych piętrowych domków urodziłem się i mieszkałem do wojny. Chciałbym w tej opowieści wrócić do tego domu. Pięćdziesiąt lat w przeszłości.

To była krótka ulica, ledwie kilkanaście numerów. Dom, w którym mieszkałem, stał na jej początku. Właściciel nazywał się Sommer i prowadził obok największy w okolicy sklep kolonialny „Dzień dobry, panie gospodarzu” — kłaniali mu się klienci, mieszkańcy naszego domu. Bali się właściciela. Miał kamienne serce. Dwukrotnie niezapłacenie komornego powodowało, że wyrzucal z mieszkania bez litości. A komorne było wysokie.

Nasz dom był drewniany, jednopiętrowy. Tylko fundamenty miał kamienne. Na nich wypisywały swoje grzywoły. Napisanie czepokółwek powyżej kamiennej podmurówki było ciężkim przestępstwem.

Każdy dom miał drewnianą bramę, zamykaną na dwie żelazne antaby. Ale nie brama była głównym wejściem do domu. Pośrodku budynku wybito niewielkie drzwi. Za drzwiami zaś ciągnęła się długa siena, zakończona w przeciwległym krańcu drugimi drzwiami. Po obu jej stronach mieszkali lokatorzy. Gdzieś pośrodku sieni zaczynały się schody, również drewniane, trzeszczące, z wyszlizganymi naszymi spodniami, poręczami.

Podwórko miało — tak jak budynek — kształt prostokąta. Wiodły do niego dwa wejścia: z bramy i z sieni. W lewym końcu podwórka stał budynek z wykrojonym w desce sercem. Dół w sławko trzeba było co jakiś czas opróżniać. Miał Sommer umowę z chłopem z Lagiewnik. Chłop za każdy transport płacił po kilka groszy. My, najmłodszy zawsze czekaliśmy na przyjazd chłopca. Był to nasz darmowy, cóż z tego, że mocno śmierdzący, spektakl. Od oglądania go mogły nas odciągnąć jedynie pokazy polyczeczki noży lub duet Geniuchy i Władzia, którzy po podwórkach reklamowali broszurki z najnowszymi przebojami: „Stachu, wróć do mnie, ja przebaczę ci wszystko”. Ale Geniuchna i Władzio oraz polyczeczki noży rzadko zjawiali się na naszym podwórku. Natomiast chłop był pewien. Przyjeżdżał raz w miesiącu. Najpierw odbywał się miste-

rium wjazdu do naszej bramy. Trzeba było wjechać tyłem pod niewielki podjazd „Pchaj, sukinyń!” — krzyczał chłop i walił konia po chudym grzbiecie. Koń rżał, stawał deba, a wóz ani drgnął. Kto żył w tym czasie z pomocą, a już na pewno nie mogło zabraknąć nas.

Zaraz obok budyneku z sercem stały komórki. Ba, powie ktoś co w tym nadzwyczajnego, a jednak... Miec komórkę znaczyło tyle, co zyskać prawa lokatora, zasiadającego mieszkańca. Lokator bez komórki był tymczasowym przybłąd, niepełnowartościowym członkiem naszej społeczności. Pośrodku podwórka stała studnia z żelazną pompą. Studnia obłożona była kamieniami.

Najbiedniejsi w naszym domu byli Wójcikowie. On nie pracował z powodu astmy, nie dostawał także zasiłku. Ona zarabiała grosze praniem u bogatych Żydów.

Najlepiej powodziło się Bédkowski. Stary Bédkowski był instruktorem w „Sokole”. Dobroty Bédkowski był namacalny, irytujący. Zenek Bédkowski wychodził codziennie na podwórko z pajdą grubo posmarowaną smalcem.

— Zenek, daj kawalek — krzyczyliśmy.

„Dajkawalek” szybko do niego przygnęło. Później już inaczej na niego nie wolałiśmy.

Bédkowskich, Wójcików i innych lokatorów domu przy Prawej zównywały letnie noce. Kiedy przychodzili upały, mieszkania upodabnały się do piekarników. Nagrzane deski nie chłodziły nawet nocami. Po takim pierwszym upalnym dniu zaczynały się przygotowania do nocnego spoczynku. Po kolei wszyscy mieszkańcy wynosili na podwórko sienniki. Układali je pod ścianą domu, najczęściej pod swoimi oknami.

— Posuń no się ślimoku, to moje miejsce — krzyczy Bédkowska do Gintera, który zawędrował z siennikiem aż pod jej okna.

— Wisz ja, jaśni pani — mruczy Ginter, ale przesuwa siennik.

— Kobity, a nie chraptają — śmieje się Korpel.

— Trzym się gaci, bo z siennika rypniesz ciulu — odgaduje Ginterowa.

Najbardziej lubili spać obok siebie Wójcik z Wolskim. Ledwo zmrok zapadł zaczynał Wójcik wspominki z wojny japońskiej. Nieodmiennie odpowiadał mu Wolski takimi słowami: — Co mi tu sąsiad pierdoły o wojnie japońskiej opowiada. Pierdołami, sąsiad, kapuśniaku nie okraszysz. Była wojna? Była. A na wojnie miał sąsiad furazę? Miał. Munder dostawał? Dostawał. Spać miał gdzie? Miał. A teraz wojny ni ma, a sąsiad w komórcie mieszka.

Była to prawda, Sommer wyrzucił

Wójcików z mieszkania po dwóch miesiącach nieplacenia komornego. Żał mu się jednak zrobiło. Trojga małych dzieci i oddał im na mieszkanie pustą komórkę. Mieszkali w niej Wójcikowie aż do wojny.

Stary Wójcik liczył na to, że kiedy syn dorosnie i zacznie pracować, przeniosą się z komórki do mieszkania. Ale się przeliczył. Kiedy Antek skończył osiemnaście lat zaczął chodzić pod fabrykę Poznańskiego. Ale tam już od świtu stała gromada bezrobotnych. Kilku z nich miało zawsze najświeższe wiadomości. Przelatywała więc wieść wśród tłumu, że ktoś z przedalini zwolniono trzech, z tkalni dwóch. Były wolne miejsca, spodziewano się przyjęć. A już najbardziej zbulwersowała ich wiadomość o wyczynie Borowika. Borowik był po-
ciotkiem ówczesnego dyrektora fabryki Wolezyńskiego, a czując swoją protekcję zaczął kraść. Gdy go raz przyłapała straż na portierni ze sztuką pościelowych w rękawie, Wolezyński dał mu nagane. Gdy drugi raz złapano go, kiedy przerzucał przez płot całą sztukę stołowego — dostał wymówienie. Następnego dnia Borowik z wielką siekierą w garści czekał na Wolezyńskiego. Gdy zobaczył kuzyna, rzucił się na niego z siekierą krzyżując: „Teraz ci zapłacę za moją krzywdę, sukinyń!” Wolezyński uciekł, ale przez majstra przysłał Borowikowi papierek z nakazem natychmiastowego podjęcia pracy.

Dla oczekujących pod bramą fabryki było to dużym zaskoczeniem. A może ja bym tak tego sukinyśna postrząszyl — myślał niejedną. No i Antek Wójcik postanowił posłużyć się Borowikowym pomysłem. Ktoregoś ranka zabrał matce długi kuchenny noż i poszedł pod dom Wolezyńskiego. A pod domem czekał już na dyrektora szofer, który codziennie odwoził go do fabryki. Antek wszedł więc do bramy. Niedługo czekał. Wolezyński szedł szybko, zamysłony.

Teraz albo nigdy — pomyślał Antek. Z okrzykiem: — Zaszlachtuję cię, sukinyń! — wyskoczył przed Wolezyńskiego, ale ten zrazu zaskoczony stał spokojnie, patrząc na Antka nieruchomymi, wypukłymi oczami. Mówiąc szczerze, Antek odziedziczył po ojcu wzrost i posturę, nie wyglądał na takiego, którego można by się przerazić.

— No i czego, chłopcze, ty ode mnie chcesz? — spytał Wolezyński, gdy Antek nawywił się już nozem.

— Pieniędzy?

— Nie, pracy — odrzekł Antek.

— Pracy ode mnie nie dostaniesz, boś za młody. Jak podrośniesz przyjdź do mnie. A tu masz dwa złote.

Nie mieli szczęścia Wójcikowie. Żaden z trojga młodych nie pracował na stałe aż do wojny. Litowali się ludzie nad ich biedą. Ratowali też ich od czasu do czasu czym kto miał, choćby miską zalewajki. A już najbardziej pomagali im Wolscy, toteż Wójcikowie Ignell do nich. Nie więc dziwnego, że nie mając swoich okien w budynku, rozkładali się przy siennikach Wolskich. Nie wszystkim sąsiedztwo Wójcików odpowiadało, nie wszyscy chcieli oddać ten skrawek ziemi pod swoim oknem.

Latem na podwórku było najweselsiej o zmroku, kiedy kładli się spać. W ciemnościach wysuwał się z sionki najpierw mężczyźni: w podkoszulkach i gaciach. Potem kobiety w halkach. Tylko my, najmłodszy, spaliliśmy go. Kobity kładły się wtedy, gdy w domu byli już wszyscy mieszkańcy. Zdarzyło się bowiem, że pijany Ginter wrócił do domu nocą. Zbłądziwszy w labiryncie sienników zwałił się niefortunnie na siennik Maciejakowej. Sądny dzień zaczął się wtedy. Pod koniec nie wiadomo już było kto kogo bije i za co.

Dla nas, chłopaków z Pawiej, zima była najlubiejszym okresem. Miec prawdziwe łyżwy, jeździć na prawdziwych łyżwach — to było nasze największe marzenie. Prawdziwe

stalowe łyżwy miał jedynie Zenek Bédkowski. Pozostali przytracali do butów atrapy: kawałki drewna powiązane sznurkami. Zazdrościliśmy Zenkowi.

Zimą studnia zamarała. Okładal ją właściciel słomą, ale niewiele pomagało. Toteż, kiedy studnia była czynna, brali ludzie po kilka wiader wody na zapas. Od sieni wiodła do studni wąska ścieżka, którą codziennie posypywaliśmy popiołem. Najwięcej popiołu trzeba było sypać przy samej studni, bo tam było ślisko. Ale przy studni nawet popiół nie pomagał. Dnia nie było, żeby któraś z lokatorek nie fiknęła na tej ślizgawce kozła.

Zwykle najwięcej kłopotów z nabraniem wody miała Szopińska, mała, zabiedzona kobiecinka. Gdy ona podstawiła pod pompę wiadro zawsze przy studni rosła ślizgawka. Tak też było i tego zimowego dnia. Trzeba trafia, że po Szopińskiej wybrała się z wiaderkiem po wodę Bédkowska, kobieta — jak to się mówi — postawna. Gdy wiadro było już pełne — podniosła je i przeszła trzy kroki. Przy czwartym grzmotnęła na ziemię, a woda z wiaderka zatoczywszy piękny łuk wyśladowała na jej głowie. Podnieśliśmy krzyk. Wybiegli Bédkowski i poniosł ją do mieszkania. Ledwie Bédkowska oprzytomniała, zaczęła wrzeszczeć, że ktoś musiał specjalnie rozlać wodę przy studni. No i zaczęła śledzić. Oczywiście, wychodząc po wodę widziała mnie kręcącego się w pobliżu.

— Kochanieńki, a która to przede mną nabierała wodę?

— Szopińska — odpowiadam, bo czuję, że będzie dobra zabawa.

W dyrdy pobiegła Bédkowska do Szopińskiej. Co jej tam wtedy wykrzyczała, nie powtórzę, ale domyślić się łatwo. Zresztą wynalazczość kobiet w tym zakresie nie miała granic. Szopińska nie pozostawała dłużna, bo Bóg, co miał jej ująć w postaci, to dodał w głosie i języku.

Po jakimś czasie gruchnęła wieść, że Bédkowska podaje Szopińską do sądu o naumyślne spowodowanie wypadku i słowną obrazę. Cały dom miał zabawę, a ja drżałem, bo Bédkowska podala mnie do sądu na świadka.

Kiedy moja matka dowiedziała się o tym, pobiegła do Bédkowskiej z awanturą:

— Nie pozwolę dziecka po sądach włożyć.

— Ale Bédkowska z matką nie chciała rozmawiać tylko na mnie czatowała. Wrzeszcie dopadła mnie na podwórku.

— Kochanieńki, bądźlesz w sądzie za świadka?

— Nie, mama nie kazala.

— Dam ci coś za to. Chcesz?

— A co?

— Chcesz złotówkę?

— E, złotówkę... Ja bym wolał łyżwy.

— No to dostaniesz łyżwy!

Słowo się rzekło. Bałem się tego sądu okropnie, ale młoda pani sędzina nie wyglądała groźnie. Może właśnie jej młodość należy zawdzięczać to, że próbowała ode mnie wyciągnąć dokładny opis zajścia.

— Widziałeś, chłopcze, panią Szopińską wychodzącą z wiaderem po wodę? — pyta sędzina.

— Widziałem — odpowiadam.

— Rozzala pani Szopińska wodę przy studni? — wypytuje dalej.

— Rozzala.

— Co jeszcze widziałeś?

— Panią Bédkowską widziałem. Ona też wyszła z wiaderem po wodę. No i wywinęła kozła.

— Aha — mówi sędzina — ale klótni nie słyszałeś.

— Słyszałem — odpowiadam, bo jakże to ja mógłbym klótni nie słyszeć.

— To jak się pani Szopińska klóciła z panią Bédkowską?

— Normalnie, tak jak u nas.

— Co to znaczy normalnie — irytuje się sędzina. — Słyszałeś, jak Szopińska nazywała Bédkowską?

— Słyszałem.

— Możesz powtórzyć?

Milczę, a sędzina widząc moje niezdecydowanie próbuje mi pomóc.

— Może byś tak spróbował opowiedzieć opisowo? No tak w przybliżeniu. To jak to brzmiało?

W końcu się decyduję:

— Pani Szopińska powiedziała do pani Bédkowskiej „ty stara...”

— Dziękuję ci chłopcze — gwałtownie przerywa mi pani sędzina, ale mnie nie tak łatwo zatrzymać, więc kończę „...kataryno”.

Sąd wydał wyrok: obie kobiety mają wpłacić drobne grzywny na Czerwoną Krzyż. Bédkowska była wściekła, ale ja miałem swoje wymarzone łyżwy, bo dostałem je przed rozprawą. To były moje pierwsze i ostatnie prawdziwe łyżwy. Potem ja-koś nie było okazji do pomyslenia o łyżwach. A teraz. Ech, szkoda gadać. Dobrze, że lekarz pozwała mi chodzić.

Mówi coraz wolniej, jest już zmęczony. Od przeszło dwóch godzin spacerujemy przed dużym czteropiętrowym blokiem, który stanął na Pawiej, na miejscu starego drewniaka. Może właśnie ten blok za pięćdziesiąt lat będzie dla kogoś serdecznym miejscem.

„Przesłuchanie DÄNIKENA”

Z wielką uwagą przeczytałem krótki felieton „Widoka” pt. „Przesłuchanie Dänikena”. Podzielał w pełni wywoły Autora, z których nie ująć nie można. Chciałbym natomiast uzupełnić je kilkoma refleksjami.

Nie ulega wątpliwości, że zainteresowanie kosmosem wzdłuż w świecie współczesnym. Również jest sprawą zastanawiającą, że teoria Ericha von Dänikena tłumaczy w sposób zadziwiająco logiczny wiele zagadek naukowych. Mimo swej niewatpliwiejszy sensacyjności oraz pewnych b'ednych sformułowań nie należy ona w swej istocie ani do gatunku prostych fikcji, ani też baśni naukowych. Z tych przyczyn z wielką niecierpliwością oczekiwałem zapowiedzianego wywiadu telewizyjnego z Dänikem i sadziłem, że dyskusja do- starczy wielu informacji oraz przyczyni się do pogłębienia znajomości interesującego mnie problemu. Jakże głęboko rozczarowałem się. Po paru rzeczowych pytaniach i odpowiedziach dyskusja spłycała się i stała całkowicie jałowa. Nastąpiło to bez najmniejszej winy gościa telewizji. Usłyszałem pytania wręcz żenujące, wypowiedzi imputujące Dänikeniowi bajkopisarstwo (chyba — dla ścisłości — baśniopisarstwo) i niemal nieuctwo. Z prawdziwym przerażeniem oczekiwałem, czy któryś z dyskutantów nie zapyta swego rozmówcy o numer kołnierzyka lub kolor noszonych skarpet. Wszystko to, co usłyszałem, miało najwidoczniej na celu ośmieszenie gościa. Nie potrzeba szeroko uzasadniać, kto w tej dyskusji został pokonany. Ericha von Dänikena można lubić lub też nie. Można również zgadzać się lub też nie zgadzać się z głoszonymi przez niego poglądami. Z drugiej strony należy pamiętać o tym, że wszelka naukowa dyskusja powinna dotyczyć się we właściwej atmosferze powagi i rzeczowości. Argumenty typu ad hominem lub ad personam nigdy nikogo rozsądnego nie przekonają, chociaż stanowią i stanowią od wieków wyswietlany chwyt sofistyczny. Z tych właśnie przyczyn uważam stawianie w dyskusji pytań dotyczących wykształcenia lub zawodu rozmówcy za coś uwłaczającego. Każdy człowiek interesujący się teorią Dänikena wie przecie doskonale, że nasz gość był hotelarzem i nie zdobył wyższego wykształcenia. Dla mnie jest to szczególnie bez znaczenia, gdyż interesuje mnie nie to KTO coś napisał, lecz to, CO napisał.

Warto przy tej sposobności przypomnieć, że naukę, i to przez duże „N”, bardzo często tworzyli amatorzy z nie profesjonalistami. Na przykład wynalazca mikroskopu Antoni Leeuwenhoek był pomocnikiem u kupca towarów lokciowych w Amsterdamie, Tomasz Alwa Edison był gazeciarem na kole i miał się przeróżnych zawodów, a Henryk Schliemann, późniejszy odkrywca Troi, zadebiutował jako chłopiec okrętowy. Tak więc wśród wybitnych uczonych nigdy nie brakowało samouków i amatorów. Losy wielkich ludzi układały się różnie i nikt z nich na ogół nie tracił nie przez to, że wykonywał przez pewien czas taki lub inny zawód. Z kompetencjami też bywa różnie. Sprawa bynajmniej nie jest nowa i już w XVI w. niejaki Francois Rabelais wymyślał niektórym utytułowanym panom od sorbonosłości i sorbonopali. Przynależność danej osoby do świata oficjalnej nauki daje co prawda pewne przywileje i stwarza niekiedy łatwiejszy start w danej dziedzinie, nie daje jednak patentu na nieomyślność i nikogo automatycznie nie pasuje na geniusza. Z innymi „poważnymi” argumentami dyskutantom rozprawił się „Widok” i z tych przyczyn nie ma potrzeby do nich powracać.

Swoja droga nie mam nawet zbyt wielkiego żalu do dyskutantów. Każdy wieloletni dyskutuje przecie tak, jak umie. Mam natomiast głęboki żal do twórców programu telewizyjnego, że nie postarali się o to, aby udział w dyskusji z Dänikem wzięli kompetentni naukowcy, ludzie którzy potrafiliby sprostać niezbyt łatwemu zadaniu i podjąć z autorem „Wspomnień z przyszłości” równorzędna oraz rzeczowa polemikę.

Wydaje mi się, że Erich von Däniken, który był początkowo trochę zażenowany treścią stawianych mu pytań, w końcu sprawiał wrażenie człowieka śmiertelnie zdruzzonego przebiegiem spotkania. Uczucie to ogarnęło mnie również, a sadzę, że i nie tylko mnie. Mimo wszystko jestem optymistą i mam nadzieję, że nasi dyskutanci nie wystraszyli Dänikena z naszego kraju w sposób ostateczny i nieodwracalny. Jestem przekonany, że ten, którego prace znikają z półek księgarskich niemal natychmiast po ich ukazaniu się, odwiedzi nas jeszcze nie raz i zapozna ze swoimi, jakże interesującymi teoriami oraz dowodami na ich poparcie.

JULIAN LESZCZYŃSKI (Łódź)

KILKA PYTAŃ

Fakt, że przez kilka tygodni w kinach premierowych utrzymuje się ten sam repertuar (vide — „Trzesienie ziemi”, „Strach nad miastem”, „Brawurowe porwanie” i oczywiście „Kochaj albo rzuć”) świadczy, że filmy te cieszą się po prostu dużym powodzeniem. No i bardzo dobrze, ale, co mają oglądać ci, którzy filmy te już widzieli? Co tym bardziej mają oglądać ci, którzy nie gustują w tego typu repertuarze? Ze dominuje w nim przygoda i sensacja miałam okazję już pisać, kolejne premiery potwierdzają tę konstatację.

Do sprawy profilu letniego repertuaru powracamy zresztą co roku, również dlatego, że prowokują to głosy Czytelników. Tak zwany okres urlopowy dla tych, którzy aktualnie są w mieście, jest czasem, w którym chętnie chodzi się do kina i to nie tylko wówczas, kiedy lato jest tak deszczowe jak tego roku. Oj, po prostu, kinaś przychodzi, ogarnia nas małe letnisko, a i czasu nieco więcej, bo dzieje się najchętniej poza rodzinnym domem. Piszę zatem Czytelnicy, że chętnie nadrobiliby całonocne zaległości i to niekoniecznie w skali repertuaru spod znaku „pięć, piątka!” A tu posucha!

Jeśli dystrybutor naszej kinematografii wierzy, że tylko sensacja i przygoda ściągną latem widza do kina, a nie należy wątpić, iż nie jest to wiara potwierdzona doświadczeniem, niechaj obsadza tymi filmami kina premierowe, ale niech w innych kinach zaproponuje także nieco inne filmy. Rzut oka na repertuar, choćby tylko ubiegłego tygodnia, pozwala stwierdzić, że wszystkie bez mała kina holdują zasadzie obowiązującej w premierowych. Nie odstąpiły od niej nawet kina studyjne: w ŁDK wyświetlają „Płonący wieżowiec”, w „Studio” także „Płonący wieżowiec” i „Wodza Indian Tecumseha”, w „Stylowym” — „Powrót Robin Hooda”.

W poprzednich sezonach ośmielaliśmy się proponować łódzkiemu Oddziałowi Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów podjęcie prób nieco ambitniejszego, może nawet eksperymentalnego układu letniego repertuaru. Pozwalamy sobie propozycję tę powtórzyć. Doświadczenia naszego OPRF w układaniu różnego typu cykli filmowych są przecież bardzo duże, nie miejsce zatem, by je tu sugerować. Można jedynie zwrócić uwagę na ten zestaw, który obejmowałby najwybitniejsze w sensie artystycznym filmy ubiegłego sezonu — pokazane tym widzom, o których była wyżej mowa. Oczywiście, przedsięwzięcia tego typu wymagają reklamy, a jest to, jak wiadomo, bardzo słaba strona działalności polskiego dystrybutora.

Gdy mowa już o reklamie, należy słów kilka poświęcić jednemu z jej przejawów. Przed rozpoczęciem sezonu, nie miałam okazji sprawdzić czy sprawa ta dotyczy także kin niepremierowych, widzowie mają ostatnio okazję usłyszeć, tak, usłyszeć, informacje dotyczące aktualnego repertuaru łódzkiego kina. Informacje te utrzymywane są w tonie reklamowym, czyli zachęcającym, co jest zresztą zupełnie naturalne, plyną z ekranu zasłonięte kotarami. Ludzie wchodzi, siadają, gawędzą, nawołują się — a z ekranu płynię sympatyczny męski głos. Płynię, lecz sądzę, że nie dociera do adresatów. To także naturalne — w kinie bowiem się patrzy i przede wszystkim patrzy. Na to nastawia się nasze zmysły, gdy przekraczamy próg kinowej sali. Mniemam zatem, że tego typu pół-cy cywierśrodków reklamowych należy unikać. Czy podejmując tego typu reklamę nie warto pokusić się jeszcze trochę i do magnetofonowego nagrania dorzucić choćby tylko... kilka fotów. Obraz na ekranie zatrzyma uwagę widza, właśnie widza, a nie słuchacza w kinie.

Swego czasu wiele dyskutowano o nagraniach wprowadzających w przedmiotu filmu widzów kin studyjnych, już wówczas mówiono o mankamentach tego typu „niemych” obrazowo prelekcji, a przecież było to nagranie kierowane do wybranej widowni. Co dopiero zatem mówić przy zwykłej reklamie — wymaga ona wysiłków szczególnych.

Gdy ciągle zbyt mało zwiastunów w kinie, zbyt mało reklam na ulicach, zbyt mało plakatów, fotów reklamowych, gdy przed wielu, wielu laty zniknęły rozdawane w kinach programy — wszelkie podejmowane, najskromniejsze nawet inicjatywy winny mieć kształt nieco bardziej przemysłowy. Tym bardziej że jak sądzę, obrazowo-fotowa ilustracja ustnie reklamuje miejsce się w granicach możliwości dystrybutora.

Tyle dziś uwag zamiast recenzji, bo i o czym pisać. Gdyby można na nie otrzymać odpowiedzi, byłoby nam bardzo miło. Być może w odpowiedzi tej znalazłoby się dane sumujące dotychczasowe doświadczenia i eksperymenty OPRF dokonywane na rzecz kształtowania letniego repertuaru. Być może także będą one przeczytane i przez Czytelników, które do nas docierają. Sądzę jednak, że jeśli nawet tak będzie, to warto pomysleć o jednym choćby kinie dla tych, którzy nie tylko przygody i sensacji latem w filmie szukają.

EWA NURCZYŃSKA

Z dyrektorem Biura Projektowo-Badawczego Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt — Łódź — Miasto, mgr inż. arch. ROMUALDEM FURMANKIEM rozmawia Bogda Madej.

Materiały VIII Plenum KC PZPR określają wyraźnie zadania, jakie stają przed budownictwem. W latach 1981—1985 trzeba będzie zbudować prawie 2,5 miliona mieszkań, aby rozwiązać w kraju problem mieszkaniowy. Ludzie nie będą więc musieli wyczekiwać na mieszkanie całymi latami. W materiałach tych mówi się wyraźnie, że należy zbudować więcej mieszkań „o większym metrażu i wyższym standardzie”. Toczy się też na ten temat powszechna dyskusja, jako że jest to problem żywo wszystkich interesujący. Jednak w tej dyskusji mało uwagi poświęca się projektantom, od których przecież cały problem budownictwa zaczyna się. Jak więc projektanci, architekci i urbanisci widzą swoją rolę w realizacji zadań VIII Plenum KC PZPR?

— Żeby odpowiedzieć na to pytanie — mówi mgr inż. arch. ROMUALD FURMANEK — trzeba wstępnie poruszyć dwa problemy. Pierwszy — to zasady współczesnego projektowania. I drugi — współczesne tendencje w budownictwie. Poruszam te kwestie dlatego, że na ten temat panuje trochę nieporozumień.

Jeżeli chodzi o sprawę pierwszą, to w związku z przejściem na przemysłową formę realizacji budownictwa mieszkaniowego nie projektuje się już poszczególnych mieszkań czy domów, lecz całe osiedla, składające się z gotowych, zaprojektowanych wcześniej mieszkań, segmentów mieszkalnych czy budynków. Mieszkania zostały zaprojektowane, uzgodnione z zainteresowanymi spółdzielniami mieszkaniowymi oraz producentami elementów prefabrykowanych. Tak przygotowane projekty zostały ujęte w odpowiednich katalogach. Architekt projektujący osiedle posługuje się więc katalogiem gotowych mieszkań. Czy to zamyka możliwości uzyskiwania jeszcze lepszych mieszkań? Na pewno nie. Katalogi są „otwarte” i co dwa lata mogą być zmieniane przez wprowadzanie coraz to lepszych rozwiązań.

I drugi problem — to rozwój nowych technik i technologii budownictwa, wprowadzanie coraz to nowych materiałów, szczególnie wykończonych i wyposażenia wnętrza. Na VIII Plenum, w swoim przemówieniu, minister Aleksander Kopeck powiedział, że jego resort można śmiało przemianować na ministerstwo przemysłu mieszkaniowego, gdyż już obecnie około 25 procent wartości mieszkania stanowią wyroby przemysłu maszynowego.

Te tendencje mają swój wpływ na projektowanie, jego ramy i na jakość budownictwa.

— Powiedział pan, że korzystacie z katalogów i gotowych technologii. Czy mogłyby pan powiedzieć, jakimi systemami aktualnie buduje się w Łodzi? Czy na przykład „LSM” jest jeszcze stosowany?

— Jeszcze tak, choć jest to już system zanikający. Poza tym stosujemy trzy inne systemy: „Dąbrowa” w odmianach: „70”, „75” i przygotowana jest również odmiana „78”, systemem szczególnie odmianną „W-70” i odmiana „WK-70”.

— Dwa pierwsze systemy: „LSM” i „Dąbrowa” są systemami opracowanymi przed laty w Łodzi.

— Tak i oba są już przestarzałe. W systemie „LSM” realizacje powinny się zakończyć w 1977 roku, może z nieznacznym przejściem na rok przyszły, ale w zasadzie system ten już się kończy. Jest on niefunkcjonalny i nie odpowiada już dzisiejszym potrzebom.

— A „Dąbrowa”?

— „Dąbrowa” posiada wprawdzie pewne mankamenty techniczne, lecz udało się w tym systemie znacznie poprawić rozwiązanie funkcjonalne mieszkań dzięki wprowadzeniu dodatkowej rozpiętości konstrukcyjnej ścian wewnętrznych. Jak wiemy, rozstaw ścian konstrukcyjnych decyduje o kształcie i wielkości poszczególnych pomieszczeń i całych mieszkań. Dzięki temu nowa wersja tej technologii — „Dąbrowa 78” może spełniać swoje zadanie, dając społeczeństwu mieszkania o znacznie większych powierzchniach aniżeli dotychczasowe wersje i lepszych rozwiązaniach funkcjonalnych.

— „System szczeciński” produkowany jest przez fabrykę domów na Teofilowie.

— Tak. Ten system ma dwie rozpiętości ścian: 2,40 i 4,80 m, co — przy poprawności obecnych rozwiązań funkcjonalnych — ogranicza jednak możliwość dalszego poprawienia tych mieszkań w przyszłości. Nie stwarza on takich możliwości, jakie daje np. „Dąbrowa 78”, a szczególnie „W-70” lub „WK-70”.

— Jakże to rozpiętości ścian w tych systemach?

— Jeśli chodzi o „Dąbrowę”, to ściany konstrukcyjne są rozstawione w odległości 2,40, 3,60 i 4,80 m. W systemie „WK-70” ściany są rozstawione w odległości: 2,40, 3,60, 4,80, 6 metrów. A więc ten system daje

największe możliwości projektowania bardziej zróżnicowanych mieszkań.

— Jeśli jednak projektant jest ograniczony technologią produkcji i wnoszenia domów to przecież może mieć wpływ na wyposażenie mieszkań. Mieszkania mają bowiem być i większe — a to na obecne potrzeby gwarantują stosowane technologie — i mają też być o wyższym standardzie.

— Projektant może postulować, lecz niejednokrotnie musi się liczyć

— Jakże to są zasady?

— Na przykład większe osiedla winny być dzielone na mniejsze jednostki — jak kwartaly, zespoły lub kolonie mieszkaniowe. W osiedlu powinna obowiązywać zasada segregacji ruchu kołowego i pieszego. Na ciągach komunikacji od przystanku tramwajowego lub autobusu powinny być zlokalizowane placówki handlowe i usługowe. Poszczególne zespoły czy kolonie mieszkaniowe powinny być tak zaprojektowane, by tworzyły kameralne, spokojne wnętrza, aby tam była zieleni, miejsce na wypoczynek i aby samochody nie podjeżdżały pod okna.

— Ale podjeżdżają, bo najczęściej nie ma parkingów.

nowych osiedli bliskie jest pana ideałom?

— Myślę, że oprócz dwu starych osiedli to jest Rokicie Nowe i osiedle im. Władcy Bytomskiej, można tak byłoby powiedzieć o projektowanym osiedlu Chojny-Zatorze. Autor chce tam złożyć monotonię zabudowy poprzez skomponowanie różnych typów budynków oraz tworzenie kameralnych wnętrz i uliczek o swoistym klimacie.

— Dlaczego tylko to jedno osiedle odpowiada pana wyobrażeniom?

— W innych też znalazłoby się pewne elementy, które mi odpowiadają. Ale to nie wynika z tego, że my tu nie potrafimy lub nie chcemy dobrze i ciekawie projektować. Proszę pamiętać, że do tej pory projektant często był ograniczony technologią, programem, jaki mu dostarczał inwestor, a również i środkami finansowymi.

— Pewna część opinii publicznej uważa, że projektanci zbyt opieszale przygotowują przebudowę śródmieścia Łodzi. Czy to prawda?

— Problem przebudowy śródmieścia Łodzi i jego centrum administracyjno-usługowego nie jest problemem „opieszalności projektantów”. Jest to problem całego procesu inwestycyjnego i trudności, jakie przeżywa on w ostatnim okresie, począwszy od zagadnień programu i jego stabilności a na środkach i limitach skończonym.

W minionym okresie mieliśmy chyba wszyscy razem założony bardzo bogaty i ambitny program przebudowy śródmieścia i centrum. Chcielibyśmy nadać miastu wysoką rangę, zbudować obrębny dom towarowy, wiele obiektów administracyjnych, kulturalnych i usługowych. Wykonano już nawet szereg projektów, które musiały pójść jednak na półkę. Pozostało nam z tego programu niewiele. Wiele tytułów inwestycyjnych wypadło z planu wiele się przesuwa w czasie. Pozostał jedynie program mieszkaniowy i nieco wyburzonych w śródmieściu placów, na których można by budować.

— Ale to radykalnie zmienia koncepcję śródmieścia, które miało być przede wszystkim centrum handlowo-usługowym dla całej aglomeracji.

— Koncepcja centrum w swych ogólnych ramach pozostanie bez zmian. Wyznaczają ją rozpoczęte realizacje, takie jak: obiekty przy ulicy Główniej, Trasa W-Z, rejon ulicy Traugutta. Zmienia się jedynie proporcje poszczególnych rodzajów zabudowy. Zwiększy się udział budownictwa mieszkaniowego.

W wielu krajach wspólnoty socjalistycznej wraca się do koncepcji wchodzenia z budownictwem mieszkaniowym do centrum miasta, odchodzenia od stylu budownictwa rozrzuconego. Pragnie się w ten sposób ocalić starą, wartościową, o cechach zabytkowych zabudowę przez system modernizacji ograniczającej liczbę wyburzeń.

Takie działania podjęliśmy wspólnie z Biurem Programowania i Projektowania Łodzi. Dotyczy ono zabudowy przy ul. Piotrkowskiej na odcinaku od „Centrum” do ulicy Żwirki, gdzie pomiędzy istniejącymi kamieniczkami o secesyjnej architekturze zaprojektowane zostały budynki mieszkalne z funkcjonalnymi mieszkaniami w nowym normaltynie i architekturą dopasowaną do istniejącej zabudowy. Podobne działania podejmujemy i w innych kwartałach. Nasze Biuro projektuje zabudowę na terenach modernizowanych i przebudowywanych kwartałów śródmieścia. Obecnie opracowujemy projekt szeregu budynków mieszkalnych dla następnego rejonu Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej, budynki przy ulicy Zamenhofa, Armii Ludowej, 19 Stycznia i Nawrot.

— Gdzie się jeszcze będzie budowało nowe osiedla?

— Zakończy się budowa osiedla Retkinia oraz będzie kontynuowana dalsza budowa osiedla Wdźzew-Wschód. Powstanie jeszcze mały zespół budynków na Teofilowie przy ulicy Szczecińskiej, tzw. Rogatka. Dwa nowe, duże place budowy to Radogoszcz na północy miasta i Chojny-Zatorze na południu. W przyszłości przewidziane są dwa duże osiedla we wschodniej części miasta: Henryków i Janów. Trzeba jednak najpierw doprowadzić tam kolektory kanalizacyjne i ciepłownicze, a to wiąże się ściśle z rozwojem przedsiębiorstw inżynierskich.

— Niezbędny nam rozwój budownictwa mieszkaniowego jest mocno uwarunkowany teraźniejszością.

— Teraźniejszość nakazuje nam budować więcej, lepiej i szybciej. Jeżeli mówimy o uwarunkowaniach pracy projektantów, to po to, aby pokazać skalę trudności, jakie są do przezwyciężenia. Zrealizowanie zadań, jakie przed całą gospodarką postawiło VIII Plenum KC PZPR, będzie bardzo trudne, trzeba więc zdawać sobie z tego sprawę już dzisiaj, bo jest to warunek wstępny do pokonania tych trudności. W pomysłowej realizacji czekających nas zadań projektanci będą mieli również swój niemały udział.

KIEDY MIESZKANIE BUDUJE FABRYKA



Fot. W. Parys

z aktualnymi możliwościami przemysłu. Ciągłe jeszcze mamy zbyt mały kolorystyczny zestaw tapet czy wykładzin podłogowych. Nie zadowala projektantów jakość i kształt grzejników „panelowych”. Wielu materiałów i wyrobów ciągle brakuje, gdyż potrzeby budownictwa są wyższe niż możliwości produkcyjne przemysłu.

— Ale czy można powiedzieć, że projektanci są przygotowani do projektowania mieszkań o wyższym standardzie w oparciu o przyrost produkcji materiałów potrzebnych budownictwu?

— Z całą pewnością. Projektanci sami szukają różnych sposobów przyspieszenia produkcji niektórych materiałów. Przykładem może tu być sprawa elewacji. Ludzie narzekają na architektoniczną monotonię budowanych osiedli. I niewątpliwie mają rację. Szukamy więc nowych rozwiązań. Stosujemy kolor...

— ... co się nie wszystkim podoba.

— Zapewne. Może i dlatego, że niektórzy projektanci stosują zbyt śmiało kolorystyczne projekty, a może i dlatego, że realizacja w kolorze nie zawsze jest taka, jaką sobie wyobrażał architekt.

— Wróćmy jeszcze do problemu elewacji.

— Poza elewacjami barwionymi, wprowadzamy tak zwane strukturalne faktury elewacyjne z różnych kolorowych lub białych grysów z kamieni łamanych, lub tak zwanej wiotkożaliki, wtopionych w betonowe elementy ścian budynku. Ostatnie nasze propozycje to stosowanie na elewacje różnokolorowego grysu szklanego z odpadów hut szkła.

— Byłabym skłonna przychylić się do opinii tych, którzy utrzymują, że na standard mieszkania wpływa nie tylko jego wyposażenie, ale też użytkowanie w dobrze zaprojektowanym i zrealizowanym osiedlu. A przecież nie mamy w Łodzi wielu osiedli, o których moglibyśmy powiedzieć, że są już wykończone, że wyposażono je we wszystko, co ludziom do życia jest niezbędne. I ludzie odpowiedzialni za to rozkładają zarówno w wykonawców, inwestorów, jak i projektantów. Czy mają rację?

— W projektowaniu osiedli, oprócz normatywów urbanistycznych, obowiązują pewne zasady planistyczne, których architekt czy urbanista powinien przestrzegać.

— To są dość skomplikowane sprawy, bo każdy właściciel samochodu, jeśli go nie zamyka w garażu, chce go mieć pod okiem, żeby go doglądać.

— Z jego punktu widzenia trudno mu się nawet dziwić. Ale przecież są ludzie, którzy chcą mieć spokój i czyste powietrze.

— Dlatego parkingi projektuje się na obrzeżach osiedli.

— Ale ich się nie buduje. Podobnie jak się nie buduje wielu innych zaprojektowanych elementów osiedla. Czy projektant nie ma możliwości nadzorowania realizacji swego projektu?

— Oczywiście, że ma. Tylko, że obecnie autorstwo projektu architektonicznego, czy urbanistycznego jest sprawą dość złożoną. Na projekt budynku czy osiedla składa się wysiłek całego zespołu specjalistów. Architekt daje koncepcję ogólną oraz rozwiązuje funkcję i układ przestrzenny obiektu, konstruktor odpowiada za stateczność budynku. Instalatorzy projektują instalacje czy też uzbrojenie podziemne osiedla. W osiedlu architekt projektuje układ zabudowy korzystając z katalogu mieszkań czy budynków zaprojektowanych przez innego architekta. A poza tym projekt realizuje wykonawca pod nadzorem inwestora i w trakcie realizacji mogą zdarzyć się jeszcze różne rzeczy. Nie za wszystko więc winę ponosi projektant.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że jest to coś w rodzaju odpowiedzialności zbiorowej?

— W moim osobistym przekonaniu, tak. Ale myślę tu również o odpowiedzialności za jakość rozwiązania jednostki projektującej, biura projektującego.

— A jaka jest pana wizja dobrze zaprojektowanego osiedla?

— Przede wszystkim, w moim przekonaniu, nie powinno to być osiedle bardzo wysokie. A więc budynki nie o takiej wysokości, jak SDM. Osiedle składające się ze zróżnicowanej zabudowy od czterech do jedenastokondygnacyjnych budynków. Poza tym dużo zieleni, dużo miejsca do wypoczynku. Osiedle tak skomponowane, aby nie przytłaczało swoją wielkością, aby poszczególne rejonu miały swój specyficzny, kameralny nastrój.

— A czy ktoś z projektowanych



nadzieja dla polskiego lnu

Dalszy ciąg ze str. 1

zaprzęgnięcia do tej skomplikowanej operacji sił przyrody. Stosowane są dwie metody: moczenie i sianie. To ostatnie — najczęściej. Polega ono na rozpościeraniu na ziemi słomy lnianej i pozostawianiu jej na kilkanaście dni, w czasie których — dzięki odpowiedniej temperaturze powietrza i jego wilgotności (rosa — rozenie) — rozwija się na niej flora grzybkowa, dokonująca fermentacyjnego rozkładu pektyn i ligniny, otaczających paździerzowym panaczem lniane włókna.

Różnica między lniarstwem, a pozostałymi przemysłami włókienniczymi jest ogromna. Producent tkanin bawełnianych może przez całe życie nie oglądać na oczy plantacji bawełnianej „waty”, zaś wytwórca tkanin wełnianych nie musi się wcale interesować metodami hodowli owiec. Len jest surowcem pod wieloma względami nietypowym, zaś samo lniarstwo ma z tego powodu znacznie więcej problemów do rozwiązania niż inne branże przemysłu włókienniczego.

CO MOŻNA ZROBIĆ Z LNU?

Polski przemysł lniarski zajmuje się kontrakcją i skupem słomy lnianej i konopnej oraz nasion; produkcją włókna, przędzy, tkanin, nici, wykładzin podłogowych, wyrobów powoźniczych i włóknin; przemysłowym przerobem odpadków na włókno, przędze, tkaniny oraz płyty paździerzowe, z których sporą część we własnym zakresie uszlachetnia. Produkuje na rynek krajowy i eksportuje, pracując równocześnie na rzecz licznej rzeszy odbiorców pozarynkowych, jak górnictwo, hutnictwo, przemysł rolno-spożywczy, przemysł odzieżowy, skórzany, meblarski, a nawet — rzemiosło.

Tym wszystkim zajmuje się 31 przedsiębiorstw, działających na terenie 18 województw, skupionych w Zjednoczeniu Przemysłu Lniarskiego, a zatrudniających — bez mała 56 tysięcy osób. Rokrocznie przerabia przemysł lniarski 200 tysięcy ton odpadków. Dzięki produkcji płyt paździerzowych kraj oszczędza w ciągu roku tysiąc sto hektarów stuletniego lasu. Spora też część odpadów przerabiana jest na wykładziny podłogowe typu „Lentex”, przeznaczone dla budownictwa, jak i trafiające do sklepów w całym kraju. Również z odpadów wytwarzana jest przędza wigoniowa, tym razem są to jednak bezużyteczne odpady z innych branż produkcyjnych, zagospodarowywane przez lniarstwo od lat. Nie marnują się też nasiona lnu i konopi, z których wytłacza się olej. Wyłoczony zaś — czyli popularnie zwane makuchy — zużywane są w całości jako cenna pasza dla zwierząt hodowlanych.

Najważniejszy jest jednak polski len w postaci — tkanin odzieżowych i dekoracyjnych, bielizny stołowej i

pościelowej. Tkaniny lniane są trwałe i mocne, przewiewne i higroskopijne, znakomicie się piorą i noszą, zaś nowoczesne wzornictwo i kolorystyka, doskonale apretury dodają im kolejnych walorów. Polski len ma renomę, liczy się w kraju i na świecie.

Związek Radziecki — największy potentat w tej branży — jest właścicielem trzech czwartych światowego arealu upraw lnu i konopi. Polska — ze swoimi 117 tysiącami hektarów — plasuje się na drugim miejscu, zajmując tę samą zresztą pozycję w światowej tabeli producentów włókien lnianych, przedy lniarno-konopnej oraz tkanin lniarno-konopnych.

W eksporcie tkanin znaleźliśmy się na trzecim — po Wielkiej Brytanii i Belgii — miejscu. Główni odbiorcy naszych wyrobów to Stany Zjednoczone, Japonia, RFN, Francja, Włochy, Australia, Kanada, a także potentat lniarski — Związek Radziecki.

KIEDY LEN BYŁ W NIEŁASCE

Był taki czas, w którym uznano przemysł lniarski za branżę — jak to się wówczas mówiło — nierozwójową. Też o „nierozwójowości” lansowano już wówczas, gdy na świecie zaczęło rysować się coraz wyraźniej zainteresowanie włókna naturalnymi i odwrót od syntetyków.

W obecną pięciolatkę przemysł lniarski wszedł ze zużyciem majątku trwałego, sięgającym czterdziestu procent. Park maszynowy — przestarzały i wysłużony — w jednej czwartej składał się z maszyn liczących sobie ponad pół wieku. 63 proc. wszystkich maszyn użytkowanych jest już ponad 10 lat, z czego niektóre osiągnęły już 75-lecie. Tylko 37 proc. maszyn i urządzeń ma mniej niż 10 lat.

Również i baza surowcowa pozostawia wiele do życzenia, chociaż więcej tu przyczyn, które mogą być uznane za niezawinione i obiektywne. Len i konopie uprawia i kontraktuje około 130 tysięcy plantatorów. Z prostego rachunku (przypomnijmy 117 tysięcy arealów upraw) wynika, że średnia polska działka plantacyjna nie sięga nawet powierzchni jednego hektara. Dla porównania: w Kraju Rad — 116 ha, w Czechosłowacji — 28 ha.

O mechanizacji upraw, zbiorów i siania słomy w tych warunkach trudno jest raczej mówić. A brak teź mechanizacji odbija się w sposób negatywny na jakości włókna, wywołując zresztą masę kłopotów na dalszych etapach obróbki surowca i produkcji przędzy.

JEST PROGRAM, ALE...

Przemiany, jakie zachodzą od kilku lat w całym przemyśle lniarskim, napawają nadzieją, że zdola on nadrobić wiele zaległości i opóźnień, stając się na wskroś nowoczesna i dobrze wyposażona dziedzina przemysłu lekkiego. Nadzieję tę rozbudza

Rys. Janusz Szymański-Glanc

jeszcze bardziej opracowana przez zjednoczenie zmodyfikowana koncepcja obecnego planu 5-letniego, której realizacja rozwiązać powinna podstawowe problemy i kłopoty.

Program ten zakłada daleko idącą rozbudowę krajowej bazy surowcowej poprzez — wypisując z programu — odbudowę i modernizację zdolności produkcyjnych roszar, zwiększenie wydajności płonów z 36 q do 45 q/ha, zwiększenie ilości włókna, wydobywanego ze słomy, powiększenie udziału gospodarstw społecznych (obecnie 5 proc.) w ogólnym areale upraw lnu, a w efekcie — zwiększenie średniej działki plantacyjnej do powierzchni 4 ha.

Program zakłada też wiele poczynań zmierzających do poprawy wykorzystania surowców naturalnych, która jest konieczna, albowiem ogromna jeszcze część włókien lnianych pochłaniają wyroby techniczne i specjalne, których produkcję z powodzeniem można oprzeć na różnych substytutach — sztucznych i syntetycznych. Jest to najbardziej chyba ekonomiczna droga do szybkiego zwiększenia ilości wyrobów rynkowych, których przecież wciąż jeszcze brakuje. W przypadku zaś tych ostatnich niezbędne jest zmniejszenie zużycia przędzy na określoną jednostkę wyprodukowanej tkaniny. Rzecz tu zresztą nie tylko w oszczędnościach, w wielu krajach odzież szyta jest z tkanin cieńszych i lżejszych, przez co są one jeszcze efektywniejsze i charakteryzują się większymi walorami użytkowymi.

Program zawiera również szczegółowy wykaz niezbędnych inwestycji, jakie należy przeprowadzić w najbliższych latach. Charakterystyczne jednak, że nie chodzi tu bynajmniej o budowę nowych obiektów, lecz — niemal wyłącznie — odtworzenia i modernizację już istniejących zakładów. Wybór tej drogi pozwala bowiem na uzyskanie szybkiej poprawy stanu bazy produkcyjnej przy stosunkowo niskich nakładach, a wysokiej ich efektywności (szybka „samozwrotność”).

Rzecz jasna, że działania te prowadzone mają być równocześnie z trwającym unowocześnianiem procesów technologicznych, konstrukcji wyrobów i technik wytwarzania. Jak i dotąd, przemysł lniarski zamierza konsekwentnie wzbogacać ofertę rynkową o coraz to nowe atrakcyjne wyroby, nadszające za wymogami mody, a charakteryzujące się przy tym dużymi walorami użytkowymi.

Program jest obszerny i konkretny, a przy tym — realny. Jego wnikliwa lektura utwierdza w przekonaniu, że słuszne i potrzebne są zamierzenia przemysłu lniarskiego. Od ich pomyślnego i harmonijnego wcielania w życie zależy przecież pozycja, jaką zdobył polski len w świecie, a jaka powinien na zawsze utrzymać...

JACEK INDELA

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

ROZMOWA O „CIENIU” I O „PTAKU”

Było to kilka tygodni temu. Czytałem właśnie dramaty Jerzego Szaniawskiego, kiedy wszedł mój przyjaciel, znawca i wielbiciel poezji. Tym razem był nieco zbudziwosowany:

— Eugeniusz Szwarz napisał „Baśń dla dorosłych” „Człowiek i cień” — powiedział. — Wobec tego dlaczego w Teatrze Nowym na afiszu czytamy: Wojciech Młynarski „Cień” wg Eugeniusza Szwarca? Czy dodanie kilku piosenek upoważnia do tego typu zabiegów?

— Na szeroki świat, w stolicy takie pytania są już niemożliwe — powiedziałem zdając sobie sprawę, że mówię tonem Sekretarza z „Ptaka” Jerzego Szaniawskiego — W Warszawie — kontynuowałem — właśnie to przedstawienie Szwarca-Młynarskiego cieszyło się ogromnym powodzeniem. A ponadto Szwarz też nie był pierwszy. Bo najpierw był Andersen, jego baśń „Cień” była poetycką metaforą, potem dopiero był Szwarz, który zobaczył w tej baśni orok poezji i głęboki humanizm, aż w końcu W. Młynarski kazał jej uciesić od metafory, a K. Dejmkę obdarzył ją racjonalizmem. I tak oto czterech „magów” pokochało jedną baśń za różne jej wartości i powaby. I chyba nie o to chodzi, by Szwarz był wierny Andersenowi, Młynarski Szwarzowi a Dejmkę Młynarskiemu, ale aby sztuka trafiła do odbiorcy, skoro predestynują ją do tego nieklamane wartości artystyczne i ideowe.

— Zgoda, ale jeżeli sztuka Szwarca te wartości posiada, to po co dodatki? — Myślę, że rozumowano tak, „Człowiek i cień” powstał w okresie rozliczeń z kulem jednostki i wtedy był nie tylko poezją, ale i satyrą. Dziś, to tylko baśń z moralizmem, baśń o odwiecznej moralitetowej tematyce, zwycięstwo dobra nad złem. Uatrakcyjnił ją zatem ten baśń muzyką i piosenkami, być może miało przybliżyć watek andersenowski i sztukę Szwarca dzisiejszemu odbiorcy.

— Zgadzasz się — powiedział mój rozmówca — takie rozumowanie może być prawdziwe i konkluzja też, ale wydaje mi się, że o znaczeniu dramatu w teatrze, a nie w literaturze, decydują zawsze aktorzy. Dlatego też „dzisiejszość” baśni Szwarca można było uzyskać bez zbędnych „obróbków”.

— Z jednym jednak zastrzeżeniem, że decydująca funkcja aktora nie odnosi się do każdego typu dramatu i jego realizacji w takim samym stopniu. Sądzę, że przykładem może być właśnie „Cień”. Dlaczego? Otóż dlatego, że działa tu schemat tak charakterystyczny dla moralitetu: dobro i zło, biel i czerń, człowiek i cień, naiwność i przebiegłość, uczciwość i przewrotność...

— Czyli świat antynomii, świat Uczonego i świat Cienia. A zatem znowu aktor decyduje.

— Nie, tym razem jest on zdeterminowany konwencją. Powiedziałbym więcej, skrepowany. A co to krepuje? Schematyzm! Nie! Świadomością schematyzmu, który podlega równie schematyczne rozwiązania. Dlatego Marek Barbasiewicz (Uczony) jest banalnie poetycki; trochę naiwnej bezradności i romantycznego gestu. Podejrzewam, że nie o to Dejmkowi chodziło.

— A może właśnie o to — zaoponował mój przyjaciel — może te właśnie cechy stanowią o nieklamamym uroku „Cienia” i postaci Uczonego?

— Wtedy twój „uczony Uczony” nie miałby ani cienia racjonalizmu, który pozwala określić who is who Uczonego. Romantyczny bohater czy sentymentalny kochanek.

— A może jedno i drugie.

— Może, ale Marek Barbasiewicz zagubił i jedno i drugie. Natomiast Andrzej Zarnecki jako Cień...

— Cienie zawsze są bardziej atrakcyjne, i wnoszą coś zgoła niesamowitego i pociągającego. Pamiętajsz ten wiersz Władysława Broniewskiego:

„Nocni przechodnie, cisi, zamysleni, czarni
chwiają wysmukle cienie w refleksach latarni.

Cienie pełzną, nie mogą odeprzeć się od nich,
przełazą przez sztachety, padają na chodnik.

Małe, śmieszne, po twarzach deptane obcasem,
wielkie, straszne, na szczydach sążniste dryblasy.

Podnoszą kapelusze na zjeżonych włosach,
lękają się zapalki, blasku papierosa.

Nad brzegiem czarna rampa zgina je i lamie.
Szalone! — skaczą w wodę do góry nogami.

Znikły!... Przemija rzeka... Powiewy... Mlenczenie...
Nocni przechodnie biedni... — jak cienie, jak cienie...

— Ten przypomniał mi przez ciebie wiersz Władysława Broniewskiego „Cienie” doskonałe ilustruje interpretację Andrzeja Zarneckiego. Trochę demoniczny fra diavolo, trochę serio absurdalny. Wszystko to oczywiście zamknięte w rytmiku, gęście, ruchu, sposobie wykonania piosenek. Aktor poszedł na zewnętrzną, aby uzyskać efekt zewnętrzności.

— Czy zauważyłeś, że ta powierzchowność udzieliła się i innym?

— Powiedz raczej złożoną zewnętrzność... Pytasz, czy zauważyłem, oczywiście, że zauważyłem. Równie bogaty w środki tego typu był Cezary Borgia Janusza Kubickiego (świetnie interpretowane piosenki Młynarskiego), Minister Finansów Bogdana Baera i Premier Sławomira Misurzewicza (majsterzytkiem była scena mówienia myfem i gra w szachy) oraz Don Pietro Ryszarda Dembińskiego (znakomity w drugiej części jako człowiek na stanowisku, już nie właściciel hotelu).

— Wspomniałeś poprzednio o interpretacji piosenek Młynarskiego, ale piosenki to nie tylko tekst, to także muzyka, a muzyka leży tak blisko poezji, chociaż trudno powiedzieć to o muzyce Macieja Maleckiego.

— Zgadzasz się, nie było w niej dramatyzmu, była płaska, jednowymiarowa i ilustrowa. Jakże daleko jej do błyskotliwej „Opłatek” Tomasza Klesewettera.

— Który też napisał muzykę do „Ptaka” Jerzego Szaniawskiego. I od muzyki zaczęła się nasza rozmowa o „Ptaku”, komedii która jest właściwie baśnią, najbardziej baśniową ze wszystkich utworów dramatycznych Jerzego Szaniawskiego.

— Maria Czernerle napisała Kiedyś zauważyłem — że dla autora „Ptaka” lepsza jest piękna mrzonka niż banalna prawda. Lepszy jest świat wyobraźni od świata rzeczywistego nawet za cenę rozczarowań i kłesk.

— Jego bohaterowie tęsknią za światem poezji, marzeń — dodał mój przyjaciel — ten świat bowiem jest ciekawszy, lepszy, piękniejszy. Tu także występuje ta moralitetowa entymologia, o której mówiłeś. Sądzę nawet, że w „Ptaku” jest ona bardziej widoczna i mniej schematyczna, bo nie dotyczy powierzchwności, ale jest ukryta w samej postaci.

— To o czym mówisz ma ogromne znaczenie dla interpretacji aktorskich. Świat poezji spłata się tu nierozdzielnie ze światem rzeczywistości. Student Tomasz Fogla jest studentem z baśni i jednocześnie pozą. Uwiedziony przez Burmistrzankę jest równocześnie wodzicielem. Tworzy idee i jednocześnie wykorzystuje ją do własnych celów. W człowieku bowiem, mówi Szaniawski, tkwi i dobro, i zło w równym stopniu. Seweryn Butym jest precyzyjnie różnicuje swego Burmistrza, obdarza go racjonalizmem doskonałym i świadomością konwencji. Być może gdzieś poza terenem akcji jest on sentymentalnym romantykiem. Tu w szarpi burmistrzowskiej nie ma miejsca na wloty młodoci. Natomiast Władysław Dewoyno, Jan Kasorzykowski, Zymunt Zintel, Zbigniew Jozefowicz jako Rajcowie różnicując poszczególne postaci wywiedli je z modernizmu Szaniawskiego.

— Co przez to rozumiesz?

— Młodość, konflikty uczucia i rozsądku, marzenia i rzeczywistości, rozgrywane w „provincialnej atmosferze”.

— Jest w tych postaciach, a także w Sekretarzu Bogusława Macha jakiś nieuchwytny rodzaj humoru tylko charakterystyczny dla Szaniawskiego. Pamiętaj, czytałem niedługo wyprzedził Osterwę, który niezmiernie wysoko cenił ten rodzaj humoru, subtelny „subtelnością artystyczną”.

— Skoro już przywołaliśmy Osterwę, to przypomnę ci jego wypowiedź o Szaniawskim, wynotowałem ją przed kilkoma dniami ze „Sceny Polskiej” z 1930 roku: „Gdyśmy kuli na pamięć poszczególne sztuki Szaniawskiego, każde słowo wytyślało się nam bardzo celowo bardzo skoordynowaną frazą muzyczną, a równocześnie nikt nie miał poczucia czegoś sztucznego, wykonypowanego lub narzuconego”.

— Jest to najwyższe uznanie, które aktor złożył autorowi i najwyższa ocena za „Juz Interpretacyjny”, który wynika z całej filozofii Szaniawskiego, który „nie tyle mówi o ludziach, ile zamysla się nad ich losami” — zauważył mój przyjaciel.

Wojciech Młynarski „Cień” wg Eugeniusza Szwarca z muzyką Macieja Maleckiego, reżyseria: Kazimierz Dejmk, scenografia: Iwona Zaborowska, choreografia: Józef Matuzewski, premiera 29 maja 1977 r.

Jerzy Szaniawski „Ptak”, reżyseria: Maria Straszewska, scenografia: Zenobiusz Strzelecki, muzyka: Tomasz Klesewetter, premiera w Małej Sali Teatru Nowego 18 czerwca 1977 r.

NIE BYŁO ORŁÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

TYLKO POPRAWNOŚĆ

W czasie egzaminów ustnych jednak okazało się, że pierwsze sito miało za duże dziury. 8 lipca spośród 17 kandydatów stawających przed II Komisją Rekrutacyjną zdało 6.

Nasze wymagania wobec przyszłych kulturoznawców określiłbym tak: wiedza szkolna i coś więcej — mówi przewodniczący komisji egzaminacyjnej, kierownik zakładu wiedzy o dramacie i teatrze prof. dr Stanisław Kaszyński. — To „i” właśnie, to co zaprezentują oni ponad program, ma często wagę decydującą.

Jak określa „Informator dla kandydatów na studia dzienne” przyszły kulturoznawca powinien odznaczać się: — zainteresowaniami humanistycznymi, ale nie jednostronnymi i nie ograniczonymi, do jednej szczegółowej dziedziny, — możliwie wszechstronną wiedzą z zakresu szkoły ogólnokształcącej (w tym dobrą znajomością historii i języka obcego), — uzdolnieniami i kwalifikacjami umysłowymi, nieodzownymi w studiowaniu przedmiotów teoretycznych, stanowiących tu istotną część programu, — predyspozycjami do działalności w środowisku społecznym i orientacją w problematyce współczesnej kultury.

Ale większość kandydatów nie spełnia nawet tych podstawowych wymagań. Wielu po prostu pomyliło kierunki. Ktoś swoją historyczną wiedzę „zakasował” niejednego kandydata na historię. Inny przyznał szczerze, że interesuje się zaginionymi cywilizacjami. A spora część osób ze swoją wiedzą nie nadawałaby się na żadne humanistyczne studia. Bo czy może być kulturoznawcą ten, który na pytanie o lekturę spoza szkolnej listy bezradnie rozkłada ręce? Albo ten, kto z westernów zna tylko... „Bonanza”? Czy może być znawcą kultury ktoś, kto do 20 roku życia nie przeczytał ani jednego dramatu Schillera czy Goethego; nie zna tytułu słynnego poematu Puszkina ani autora „Nedziaków”? Nie mówiąc już o kwestiach tak subtelnych jak odróżnienie utworów Mariana Brandysa od dzieł brata — Kazimierza, a „kryminału” od „produkcji janki”? —

Dlaczego na kulturoznawstwo? — pytała komisja. Pytałem i ja zdających. Zazwyczaj tłumaczyła się „zainteresowaniem literaturą współczesną”. Gorzej, jeśli ich oczytanie kończy się na lekturach szkolnych. Komisja cierpliwie wysłuchuje kolejnego streszczenia „Medalionów” Zofii Nalkowskiej i pyta:

— Zna pani może jakichś innych współczesnych autorów?

Lubię książki młodzieżowe Domagalika i Sleskiej — odpowiada bez zęnaty absolutentki klasy o „profilu humanistycznym”. Nie zna też żadnego współczesnego autora powieści historycznych. Minie parę dobrych minut, zanim „spśród współczesnych poetów, nie pisarzy”, jak mówi (sic!), wymieni przedstawiciela „turpinizmu” — Stanisława Grochowiaka. Kiedy poprawiono jej ten językowy zwioląg, kandydatka zrobiła tzw. duże oczy — Komisja się zebrała — usłyszałem od niej na korzytarzu.

W zeszłym roku naprawdę było w czym wybierać. Przyjeśliśmy nawet sporo ponad limit — mówi dr S. Świątek. — W tym zaś roku nie ma „orłów”, tylko poprawność.

Wypadki rewizji oceny z pracy pisemnej są wyjątkowe, ale wiele mówiące. Ktoś napisał na 2, odpowiedział na 5. Komisja jeszcze raz czyta pracę i ocenia ją na... 4. Zródłem tych dysproporcji bywają nie tylko różne upodobania kandydatów z których jedni wola „mówić”, inni „pisać”, ale także różnice w gustach i „widzimy” recenzentów i egzaminatorów. Oto przykład sprzecznych sądów, które w ostatniej instancji musi rozstrzygnąć Komisja Rekrutacyjna. Porównajmy.

Opinia ze szkoły średniej: „Uczennica mało aktywna, umysł odwrócony. Noty na świadectwie naturalnym: dobre i dostateczne.

Fragment recenzji pracy pisemnej na ambitny temat: „Funkcje społeczno-kulturalne spełniane przez teatr, film i telewizję. Oceń różnicę w sposobach ich społecznego oddziaływania”. „Szeroka znajomość współczesnego życia teatralnego i filmowo-telewizyjnego oraz procesów w nim zachodzących. Niezłe wiadomości historyczne (dotyczące spraw teatru). Wartość pracy podnosi samodzielność logicznego myślenia i poprawny wnioskowanie.

Na egzaminie ustnym kandydatka omawia profil polskich czasopism społeczno-kulturalnych.

— Czyta pani „Odgłosy”? — py-

ta egzaminator Grzegorz Gazda.

— Czasami.

— Co może pani powiedzieć o profilu tego pisma?

— „Odgłosy” prezentują głównie łódzkich pisarzy. Można znaleźć tu bardzo ciekawe wiersze młodych poetów łódzkich.

— Zna pani nazwisko któregoś z nich?

— Nie przypominam sobie.

— A kogoś z przedstawicieli łódzkiego środowiska literatury?

— (Po dłuższym namyśle) Na przykład pan Tynecki.

— Dlaczego właśnie pan Tynecki?

— Pamiętam tylko to nazwisko.

Czytałam niedawno artykuł polemiczny, w którym skrytykowano pana Tyneckiego.

— A za co skrytykowano pana Tyneckiego?

Milczenie.

— A kto napisał ten artykuł?

Milczenie.

REFLEKSJE

Tegoroczne egzaminy na kulturoznawstwo potwierdziły jedynie aktualność alarmujących sygnałów, jakie od lat dochodzą z najbardziej modnych i obleganych kierunków. Mówi historyk, członek Komisji Rekrutacyjnej dr Romuald Wróblewski:

— Coraz częściej przyczyną klęski jest słaba znajomość historii. Kandydaci myślą fakty, daty, nazwiska. Lapsusy typu: „Romantyzm narodził się w XVII wieku” czy „Kościuszko spłonął na stosie inkwizycji” nie należą do rzadkości. Podobnie jak wiedza o historii czerpana ze spektakli TV i... powieści Dostojewskiego. Zdarzają się także błędy jak nieumiejętność wydobycia istoty faktów, nieumiejętność syntezy i widzenia zjawisk w kontekście.

Tradycyjnie „leży” gramatyka i ortografia. Kandydaci kapitulowali często już na sam widok pytania, tłumaczyć się.

— Gramatyki nie mieliśmy w szkole...

— Ale coraz gorzej jest przede wszystkim z podstawową wiedzą polonistyczną, nawet jeśli tylko, która powinna zostać po lekturach utworów i podręczników ze szkolnego kursu.

Pokutują szkolarskie, anachroniczne schematy i frazesy. Na przykład odpowiedź na temat „Trylogii” rozpoczyna się z reguły od uwagi, że była ona pisana „ku pokrzepieniu serc”, a wypowiedź o baroku od stwierdzenia, że była to „epoka ciemnoty” itp. O ile na temat „treści” czyli „problematyki ideowej” da się zawsze jeszcze „coś” powiedzieć, to zupełna nieporadność cechuje omówienia sztuki dzieł literackich czy filmowych. Absolwenci liceów nie umieją odróżnić spraw najbardziej przy interpretacji tekstu podstawowych, jak np. „przeżyć” podmiotu lirycznego wiersza od „przeżyć” autora, symbolu od alegorii. Im zaś mniejsza wiedza i czytanie, tym większy pęd do wyrokowania, osądzenia, uogólnień, i krytykowania.

Za taki stan rzeczy trudno jednak obwiniać zarówno wyłącznie nauczycieli, jak i z drugiej strony tylko uczniów. Mają oni zresztą od lat te same argumenty na obronę (brak czasu, przeładowany program, słabe podręczniki).

Coś się jednak psuje na linii nauczyciel (szkoła) — uczeń. Ten ostatni, nie znając często własnych możliwości, zawierza opiniom szkoły, która nie tylko nie pomaga w wyborze właściwych studiów, ale wręcz szkodzi. Wbrew pozorom pochlebstwa, często bez pokrycia składające się na tzw. opinie szkoły o absolwentach-maturzystach, nie ułatwiają mu drogi. Podobnie zawyżone oceny. Zaszczepiają one absolutemom fałszywe przekonanie, iż nadają się oni wyłącznie na jeden kierunek studiów, Białąca i dezorientują. Sądząc po egzaminach na kulturoznawstwo uwagi te dotyczą szkół średnich na tzw. „prowincji”. Dysproporcje między ocenami na maturze i w czasie egzaminów na studia są mniejsze w przypadku absolwentów łódzkich szkół.

Wreszcie spostrzeżenie ostatnie. Jak to się dzieje, że wychowankowie klas o „profilu humanistycznym” byli na kulturoznawstwo gorzej przygotowani niż ich konkurenci ze specjalizacją „matematyczno-fizyczną”? Czy nie dlatego, że na „humanistów” kierują się uczniowie ogólnie słabsi i mniej zdolni, oprócz oczywiście tych, którzy boją się przedmiotów ścisłych i „specjalizację humanistyczną” traktują po prostu jako azyl? A może zastrzyż ten „profil”? Dać np. w większych dawkach łacinę, gramatykę, logikę...? A nuż ci, „humanisci” się przestraszą i zaczną się uczyć?

TOMASZ SOLDENHOFF



Foto: Archiwum

Chociaż imperialne ambicje Austrii należą już do odległej przeszłości, WIEN — miasto waleń, nie obumarl wraz z upadkiem cesarstwa Habsburgów. Rzekłbym nawet, że w nowej sytuacji historycznej rola naddunajskiej stolicy wzrosła. Nie zapominajmy, że na 414 km kw. żyje dziś 1,7 mln ludzi, a więc czwarta część ludności całego państwa. Jeśli do tego doliczymy setki tysięcy turystów wszystkich narodowości zrozumiemy łatwo, że współczesny Wiedeń jest miastem ruchliwym, tłumnym, tętniącym życiem przez całą dobę.

Austriacy rozkochani w swojej stolicy śpiewają: „Wien, Wien, nur Du allein...”. Jest w tym sporo racji. Aczkolwiek na obrzeżach miasta wyrosły potężne zakłady przemysłowe obraz miasta ukształtował się w ciągu dwutygodniowych dziejów i przede wszystkim relikty wspaniałej przeszłości nadają ton stolicy Austrii. Mamy i my, Polacy, swój udział w tych wspaniałościach. Wszak to jesienią 1863 roku Jan III Sobieski dotrzymując zobowiązań traktatowych wobec cesarza Leopolda I na czele 25 tysięcy polskiej jazdy rozerwał turecki pierścień oblężenia wokół Wiednia zmuszając armię Kara Mustafy do sromotnej ucieczki. Jak zgodnie podają historycy o powodzeniu wyprawy zdecydował atak polskich husarzy ze wzgórz Kahlenberg umiejętnie poprowadzony przez polskiego króla dowodzącego wszystkimi wojskami chełczyjan.

Polecam Kahlenberg jako punkt widokowy o szczególnej atrakcyjności: z wysokości wzgórz, widać jak na dłoni, cały Wiedeń, przecięty wyraźną kreczą „pięknego, modrego Dunaju” i cieniutką, krętą linią Kanalu Dunajskiego. Polaka czeka dodatkowa nagroda: w dawnym klasztorze na Kahlenbergu znajduje się pamiątkowa kaplica Jana III Sobieskiego, widomy ślad naszych niegdyśszych zwycięstw.

Pisząc o Wiedniu trudno wyzwoić się od naporu historii, chociaż wiem, że Czytelnik żąda ode mnie przede wszystkim praktycznych wskazówek jak za 130 dolarów spędzić najkorzystniej czas w stolicy Austrii. Pewien wiedeński globtrotter Ignaz Pimplhuber zapytany przez dziennikarzy skąd bierze pieniądze na liczne wojaże zagraniczne odparł z uśmiechem: „Po cóż mi dewizy? Zabieram do samochodu dziesięć kg maki, pięćset opakowań gumy do żucia, dwadzieścia zapalniczek, trzy nylonowe kosule i sto żyłek...”. Oświadczył dalej, że za tygodniowy pobyt w Rimini zapłacił hotelarzowi sześćdziesiąt zapalniczkami, obiad kosztował go najwyżej kilogram maki i trzy gumy do żucia, a jako resztę otrzymał dwa jajka, żyłek okazały się twardszą walutą niż złoto, a za kosulę nylonową mógł dwukrotnie tankować swój samochód.

Niestety, metody tej nie będę mógł polecić polskim turystom udającym się do Austrii. Tutaj jednostką walutową jest szyling (1 dolar amerykański wart jest 16—18 szylingów) dzielący się na 100 groszy. I trzeba być psychicznie przygotowanym na to, że siła nabywcza szylinga odpowiada w przybliżeniu złotowce, niekiedy zaś ma on znacznie mniejszą wartość. Toteż większość uciech reklamowanych w gazetach i prospektach nie będzie dostępna dla naszej kieszeni. Ale mimo to pobyt w Wiedniu będzie dostatecznie atrakcyjny, gdyż sprawi to atmosfera miasta słuszenie szczytując się ze swych zabytków architektury, zbiorów sztuki i kulturalnych tradycji.

Najstarszy Wiedeń zamyka się w

KONRAD FREIDLICH

WIEN

„Zabawy dziecięce”, „Samobójstwo Saula”, „Budowa wieży Babel”, „Chłopskie wesele”, „Burza morska”. W zbiorach wiedeńskiego Muzeum Historii Sztuki znajduje się także głowna „Madonna w zieleni” Rafaela, wielka liczba Rubensów, obrazy Tytcjana, Dürera, Holbeina, Rembrandta.

A oto inne, godne polecenia zespoły architektoniczne Wiednia położone już poza Inne Stadt: Schönbrunn — pałac ufundowany w roku 1688 przez cesarza Leopolda I dla jego syna, przyszłego cesarza Józefa I. Złote mury i wyraziste kolumny doskonale są zharmonizowane z ogromnym zespołem ogrodowym, który zamyka Glorietta — klasycyzny pawilon, a jednocześnie wspaniały punkt widokowy;

Belweder — jedna z rezydencji cesarskich, dzieło architekta Hildebrandta, nazywane także „małym Wersalem” należy do najwspanialszych zespołów pałacowo-parkowych Wiednia. Jest on zarazem jednym z najdoskonalszych zabytków austriackiego baroku. W górnym i dolnym Belwederze znajdują się liczne muzea: Österreichisches Barockmuseum (Austriackie Muzeum Baroku), Österreichische Galerie des XIX und XX Jahrhunderts (Galeria austriackiego malarstwa XIX i XX wieku), Museum Mittelalterlicher Österreichischer Kunst (Muzeum Austriackiej Sztuki Średniowiecznej).

Lista zabytków Wiednia godnych choćby pobieżnego obejrzenia byłaby zresztą tak długa, że z konieczności ograniczyłem się do tych kilku tylko przykładów najbardziej reprezentacyjnych budowli. Moje wprowadzenie nie zastąpi solidnego przewodnika, ma być przecież tylko zachętą do odwiedzenia Wiednia podczas wakacyjnych wędrowek. Warto jednak podkreślić, że kto chce poznać prawdziwy wiedeński obyczaj, musi koniecznie wybrać się do Grinzingu, położonego stosunkowo daleko od centrum, bo w XIX dzielnicy. (Dzielnice Wiednia nie mają nazw, a jedynie numery, kolejno opasując pierwszą z nich tj. Inne Stadt zakreślona Ringiem). Spotka się tam Wiedeń, który jeszcze nie utracił ze swej dziewnastowiecznej sielskości wraz z egzotykiem kapelami i śpiewami podczas birbanacji. Podobny charakter zachował także Hietzing.

Na zyczenia wzmiankę zasługuje także Prater, najpopularniejszy park Wiednia. Promenada długości 5 km prowadzi tam wprost do Lusthausu (Dom rozrywki), a cały teren jest ulubionym miejscem zabaw, gier sportowych i spacerów.

Na zakończenie kilka wskazówek praktycznych:

Handel w Austrii pracuje od poniedziałku do piątku w zasadzie od 8 do 18 z przerwą obiadową. W sobotę czynne są tylko wielkie domy towarowe. W dni wolne od pracy Wiedeń staje się handlową pustynią, świętują nawet właściciele trafik. Jeśli zabraknie wam papierosów możecie kupić je w restauracji lub w automacie.

Komunikacja miejska jest doskonale zorganizowana (większość linii tramwajowych pod ziemią). W ruchu samochodowym na obszarach zabudowanych obowiązują ograniczenia szybkości do 50 km/godz. Nietrzeźwość za kierownicą jest surowo karana (najniższa kara 5.000 szylingów grzywny i zatrzymanie prawa jazdy), ale austriackie przepisy są mimo wszystko liberalniejsze od naszych, gdyż uznają za dopuszczalną granicę stężenia alkoholu we krwi 0,8 promille. Radzę wszakże odstawić samochód i korzystać z komunikacji miejskiej. Wprawdzie nie jest ona tania (bilet tramwajowy kosztuje 8 szylingów), można sobie wszakże poradzić nabywając w trafice tzw. Wochenschein. Taki tygodniowy bilet pozwala na nieograniczone korzystanie w ciągu siedmiu dni z dwu linii tramwajowych. Trzeba sobie tylko tak ułożyć trasę, aby obejmowała możliwie największą część miasta. Wybraną trasę rejestruje się w automacie tramwajowym, bez jakiegokolwiek mitrugi biurokratycznej.

Na koniec kilka niezbędniejszych adresów i telefonów:

Ambasada Polska (Polnische Botschaft), XIII dzielnica, Hietzinger Hauptstrasse 42 c. tel. 82 74 44;

Polski Instytut Kulturalny (Polnisches Institut in Wien), I dzielnica, Am Gestade 7, tel. 63 89 61/62 — można tu zawsze przeczytać najświeższe polskie gazety.

Polskie Biuro Podróży „Orbis” (Polnisches Informationsbüro für Touristik „Orbis”), I dzielnica, Schedenplatz 3/4 tel. 53 08 10.

PLL „Lot” (Polnische Fluglinien „Lot”), I dzielnica, Schedenplatz 3/4, tel. 63 98 10.

U PRZYJACIOŁ

Duże zainteresowanie muzykologów z całego świata wzbudziła wiadomość o odnalezieniu w archiwach praskiego Teatru Narodowego jeszcze jednej, uznanej za zaginioną wersję opery Ludwika van Beethovena „Fidelio”. Jej partyturę odkrył wybitny muzykolog czeski — Oldřich Pulker, a po trwających przeszło rok studiach, udowodnił autentyczność rękopisu. Jak wiadomo, „Fidelio” wystawiono po raz pierwszy w 1805 r. w Wiedniu. Premiera — być może dlatego, że odbyła się w okupowanej wówczas przez wojska Napoleona stolicy austriackiego cesarstwa i do teatru przybyła zaledwie garstka oficerów francuskich — nie przyniosła sukcesu.

Zgodnie z radami przyjaciół Beethoven skrócił i przerobił nieco swój utwór. Wprawdzie realizacja sceniczna drugiej redakcji — w 1806 r. — wywołała już znacznie większe zainteresowanie krytyki i melomanów, jednak kompozytor po burzliwej rozmowie z dyrektorem teatru zażądał zwrotu partytury.

Do projektów wystawienia „Fidelio” wrócono w osiem lat później w związku z rozpoczynającym się Kongresem Wiedeńskim. Opera miała uświetnić program imprez muzycznych przygotowywanych dla uczczenia Kongresu. Beethoven, zgodnie z uchyleniami mu sugestiami, wniósł wtedy kilka poprawek do swego dzieła. Zgodził się również na usunięcie niektórych fragmentów głoszących hasła wolnościowe, brzmiące jednak — zdaniem dyrekcji teatru — zbyt rewolucyjnie i mogących wywołać niezadowolone niektórych monarchów i dyplomatów bawiących w Wiedniu.

Trzecia wersja „Fidelio”, wystawiona 23 maja 1814 r. była triumfem kompozytora.

Opera Beethovena zainteresowała się także ówczesny dyrektor Stavovskiego Teatru (obecnie Teatr im. Tyla) w Pradze — Karol Maria Weber. Na jego prośbę kompozytor przesłał partyturę „Fidelio”, ale nie trzecia, kongresowa, lecz wersję drugą. Widocznie ten wariant dzieła był mu bliższy i najwyżej go cenil. Operę wystawiono w Pradze tylko raz (w listopadzie 1814 r.) po czym partyturę złożono w archiwach Stavovskiego Teatru. Ponownie sygnał po nią dopiero w 1870 r. Bedřich Smetana. Z jego inicjatywy dokonany został czeski przekład libretta. W języku czeskim „Fidelio” wystawiono na scenach teatru „Prozatimni”, znajdującym się wówczas tam gdzie dziś wznosi się budynek Teatru Narodowego. Jedyny ocalały egzemplarz drugiej wersji partytury „Fidelio” z uwagami, korektami i uzupełnieniami napisanymi własnoręcznie przez Beethovena, przechowywany jest obecnie w archiwum Teatru Narodowego. Powstał projekt by bezcenny skarb światowej kultury przekazać do zbiorów Centralnego Państwowego Archiwum CSRS.

W stolicy NRD otwarto wystawę prac plastycznych wybitnego dramaturga Petera Weissa, autora głośnej sztuki „Męczeństwo i śmierć Marata”. Wystawa eksponowana była najpierw w Szwecji, gdzie pisarz osiadł w dniach hitlerowskiego terroru i pozostał tam już na stałe. Niebawem wystawę obejrzą mieszkańcy Włoch i Francji.

Prace eksponowane na wystawie powstały między 1933—1960 r. Bedac już na emigracji w 1937 r. Peter Weiss wystąpił Hermanowi Hesse kilka swoich rysunków. Hesse potraktował je poważnie i to dodało artyście odwagi. Jemu także zawdzięcza, że odważył się pojechać do Pragi i zaprezentować swoje prace tamtejszej akademii. Tam również Weiss zaczął studiować, łącząc coraz częściej sztukę z literaturą.

W latach późniejszych w czasie wojny głębokie przeżycia zmieniły wrażliwość artysty oraz jego wyobraźnię, zaczęło dominować w jego twórczości pisarstwo, aby od 1960 r. stać się wyłączną płaszczyzną jego działania.

Jeden z najbardziej poczytnych na świecie, paryski dziennik „Le Monde” rozpoczął drukowanie w odcinkach powieści Witolda Gombrowicza „Opętani”, po raz pierwszy publikowanej w języku francuskim. Jest to powieść napisana przez Gombrowicza dla dziennika „Dobry Wieczór — Kurier Czerwony” i drukowana przez ten dziennik od 4 czerwca do 30 sierpnia 1939 r. Gombrowicz nie podpisywał jej wówczas swoim nazwiskiem, lecz pseudonimem Niewieski. Fragmenty powieści przypomniał przed kilku laty „Przekrój”.

Do autorstwa „Opętanych” przyznał się Gombrowicz wiele lat później, w nocie biograficznej jaką sam zredagował dla „Le Cahier de L'Herne”.

Wielu ludzi wyobraża sobie chorobę rakową jako tajemniczą, losową schorzenie, rozprzestrzeniając się nieuchronnie, podobnie jak w średniowieczu dżuma. A przecież w ostatnich latach uczeni osiągnęli znaczne postępy w wyjaśnieniu przyczyn, jak również leczenia tej choroby, a zarejestrowany w niektórych krajach stosunkowo wzrost wypadków zachorowań na raka wyjaśnia się, przede wszystkim, proporcjonalnym wzrostem liczby ludzi starych najbardziej podatnych na choroby rakowe.

Stwierdzono iż licznym formom złośliwych guzów rakowych można zapobiec przy pomocy elementarnych środków: właściwego odżywiania, ścisłego przestrzegania zasad higieny, odzyskiwania się od szkodliwych nawyków, jak na przykład palenia tytoniu i picia alkoholu, hartowania organizmu itp. Trudniej jest uniknąć kontaktów z rakogennymi środkami chemicznymi, zanieczyszczonym powietrzem, lecz i w tej dziedzinie zrobiono ostatnio spore postępy.

Oczywiście, pozostało jeszcze wiele do wyjaśnienia o naturze choroby, niemniej badania prowadzone w wielu krajach świata, w tej liczbie również w krajach naszego obozu, zmierzające do wykrucia mechanizmu raka, opracowania metod diagnostycznych, profilaktyki i środków leczniczych są bardzo zaawansowane i stwarzają perspektywę skutecznej walki z chorobami rakowymi.

Jeszcze całkiem niedawno uważano niemal za szarlatanerię przypuszczenie, że przy chorobach rakowych odgrywają rolę cechy osobowości właściwe choremu. Dziś szereg uczonych uważa, iż negatywne emocje, silne przeżycia, a nawet niektóre cechy charakteru człowieka mogą odgrywać określoną rolę w rozwoju chorób rakowych.

Zdaniem uczonych pytanie: „czy w chorobie rakowej odgrywają rolę cechy osobowości i emocje, należy rozpatrywać z dwóch punktów widzenia. Z jednej strony, zachorowaniu na raka sprzyjają w dużym stopniu niektóre nawyki współczesnego człowieka, takie jak na przykład palenie tytoniu. Z drugiej strony, niektóre stany emocjonalne wpływają na wytwarzanie i wydzielanie hormonów w organizmie. Jeśli, na przykład, człowiek żyje w stanie nieustannego stresu, to następuje poważne naruszenie funkcji mózgu i gruczołów wewnętrznego wydzielania. Procesy towarzyszące stresowi powodują zniszczenie niektórych limfocytów. A właśnie te komórki odgrywają w organizmie decydującą rolę w odróżnieniu i niszczeniu obcych substancji.

W związku z tym uczeni zadają sobie pytanie: czy nie wpływa także naruszenie funkcji organizmu przy chronicznym stresie na odporność, a jeśli wpływa — to czy nie powoduje ono znacznych zmian w strukturach biologicznych, i następnie w rozwoju choroby rakowej?

Zwolennicy teorii psychologicznych i psychosocjalnych wpływów na choroby rakowe nie negują wagi czyn-

ników środowiska zewnętrznego. Część onkologów uważa za zupełnie możliwe, iż specyficznie indywidualne i psychosomatyczne reakcje obniżają odporność organizmu na działanie czynników zewnętrznych, zdolnych do wywołania choroby. Przy oddziaływaniu tych czynników na organizm taka obniżona odporność pozwala sądzić o podatności lub odporności na raka.

Wcześniej obserwowane prowadzone bez określonego planu. Obecnie uczeni zaczęli stawiać konkretne zadania. Dr Thomas, psychiatra z uniwersytetu im. J. Hopkinsa (USA) — jak informuje szwajcarski tygodnik „Weltwoche” — w okresie od 1946 roku do 1964 opracowała psychologiczne portrety 1337 studentów uniwersytetu i spisała historie ich chorób. Stwierdziła ona, iż studenci, którzy zachorowali później na raka, byli samotnikami, ludźmi zamkniętymi w sobie i odznaczali się pasywnością życiową. Trzydzieści procent chorych uważało, że byli obojętni dla rodziców i że rodzice zupełnie ich nie rozumie. Chorzy na raka byli również bardzo podatni na stresy. Dr Thomas uważa, iż cechy osobowości tych ludzi i ich psychika obniżały zdolność obrony organizmu przed chorobą i jak tylko napotykali na trudności, których nie byli w stanie przezwyciężyć — zapadali na choro-

szą chorobą — w jakim by ona nie była stadium — dawali sobie radę z pomyślnym skutkiem ci chorzy, którzy umieli się dostosować do nowej sytuacji i nie tracili nadziei na lepszą przyszłość. Ci pacjenci chętnie przyjmowali pomoc od swoich krewnych i przyjaciół, wyróżniali się dobrym nastrojem. Ich zupełnym przeciwieństwem byli pacjenci, którzy tłumili swoje uczucia, cierpieli z powodu przeżyć wewnętrznych, stronili od ludzi i uważali siebie za niewinne ofiary złego losu. Właśnie ich najczęściej atakował rak.

Bardziej wnikliwe badania daly zdumiewające wyniki: psychologiczne cechy przesądzały nawet powstawanie guza rakowego. Wspomniany już dr Lefer podaje taki przykład choroby raka płuc. W pacjencie zawsze tłumiono dążenie do swobody. „Miałem wrażenie — wspomina ów pacjent — że moim płucem zawsze brakowało powietrza”. Inny pacjent, z rakiem żołądka, bał się przez całe życie, że umrze z głodu. Obserwacje te zbiegają się z wynikami badań, które w okresie 22 lat prowadził specjalista — onkolog, dr Tenni. Wykazały one zależność rodzaju choroby rakowej od obrazu życia pacjenta, co potwierdzają badania prowadzone nad 122 chorymi.

Z tego wszystkiego, mówią uczeni, można wyciągnąć następujący ważny

STRESSY A RAK

wniosek: przy leczeniu raka efektywnym środkiem leczniczym może być psychiatria.

Dr Lefer jest przekonany, że śmierć pacjenta może nastąpić o wiele wcześniej jeśli nie jest on zdolny, żeby uznać siebie za pełnowartościową jednostkę społeczeństwa, której życie ma sens i jest godne szacunku. „Ból — pisze dr Lefer — z powodu utraty kochanego człowieka, ból, który tak często figuruje w historiach chorób ludzi dotkniętych rakiem, nie jest niczym innym jak tylko reakcją części naszego „ja”, która umiera w nas ze śmiercią bliskiego. Dlatego należy koniecznie pomóc takiemu choremu w odnalezieniu jego wewnętrznej jedności, jego własnego „ja”, z którym był nieraz „rozłączony” od samego dzieciństwa.

Uczony przytacza zachęcające wyniki badań. Silne pozytywne emocje, jak nowa miłość, gruntowne zmiany w życiu, optymistyczne spojrzenie na wydarzenia życia codziennego itp., mogą spowodować polepszenie nawet w zaawansowanym stadium choroby. Współpracownicy dr Lefera zaobserwowali także nieoczekiwane zahamowanie w rozwoju choroby rakowej u dwudziestu chorych.

Tłum:
JERZY CZECH

(C.)

W WIEDNIU — BEZ POSTĘPU POWRÓT INDIRY GANDHI ROZDŹWIĘKI: TIRANA — PEKIN

Z początkiem trzeciej dekady lipca zakończyła się dwunasta runda rokowań wiedeńskich. Kolejna rozpoczęła się pod koniec września. Warto więc, choćby przez chwilę, zastanowić się w jakim punkcie znajdują się te trudne rokowania, dotyczące wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej.

Niestety — dopiero co zakończona runda nie charakteryzuje się odczuwalnym postępem. Wciąż strona zachodnia nie aprobuje jednoznacznie zasady wzajemności, równorzędności redukcji i nieprzyczyniania się do naruszenia bezpieczeństwa jednej ze stron. Z głosów przedstawicieli zachodnich wynika, że ich kraje nie zamierzają odejść od koncepcji redukcji asymetrycznych, a więc o nierówne ilości. Uchylają się też od sformułowania gwarancji udziału w redukcji, unikając podania rozmiaru i terminu owego obniżenia. Wszystko to razem narusza zasady rokowań, uzgodnione wcześniej. Co więcej — jak zauważył przedstawiciel radziecki — w czasie, kiedy trwa dyskusja w Wiedniu, strona zachodnia ustala wyposażenie swych sił w nowe typy

uzbrojenia, żeby np. wspomnieć o pociskach samosterujących „Cruise”.

Czas 12 rundy w dużym stopniu wypełniony był wyjaśnieniem rozbieżności danych na temat liczebności wojsk lądowych w Europie Środkowej. Bez powodzenia. Zachód wprowadził dyskusję na ten temat, by posłużyć się słowami amb. Tarasowa, w „dżungli szczegółów technicznych” zamiast odpowiedzieć na pytanie: jaka jest liczebność wojsk, które miałyby podlegać redukcji.

Opinie komentatorów po 12 rundzie nie są optymistyczne, chociaż część twierdzi, że krok naprzód musi być uczyniony. Może zatem 13 runda wcale nie będzie feralną i spowoduje oczekiwany postęp. Długie rokowania (od 30 października 1973) i ilość plenarnych posiedzeń (145) dopraszają się tego.

Po tym temacie ogólniejszej natury — przejdźmy do dwóch szczegółowych wydarzeń.

Czytelników z pewnością zainteresuje, że po czterech miesiącach politycznej bezczynności (a więc od przegranej w wyborach) powróciła znowu na scenę Indira Gandhi. Wy-

stąpiła ona na kilku wiecach — głównie w duchu poparcia dla jej partii — Partii Kongresowej „w celu uczynienia kraju silnym i samodzielnym”. Rząd Janaty — stwierdziła — utrudnia przeprowadzenie reform, które miały poprawić sytuację warstw upośledzonych. Mówiła o faktach odebrania ziemi bezrolnym, wzroście cen i powiększaniu się przepaści.

W Indiach przemówienia Indiry Gandhi wywołały wiele komentarzy. Jej przeciwnicy zaatakowali ją dość mocno, niektórzy uważają, że powrót na scenę polityczną jest przedwczesny. Komentatorów interesuje przede wszystkim sam fakt — powody, dla których Gandhi zabrała głos właśnie teraz. Czyżby dojrzała sytuacja do przeciwstawienia się publicznie polityce wewnętrznej Janaty? Podkreślamy: wewnętrznej, gdyż w polityce zagranicznej nie zaobserwowano zmian.

Właśnie premier Indii — M. Desai udzielił wywiadu telewizyjny radzieckiej, w którym powiedział, że rząd indyjski dąży będzie do umacniania stosunków z ZSRR i rozwijania współpracy. — Mamy nadzieję — dodał — że Związek Radziecki i inni nasi przyjaciele działają nadal na rzecz zagwarantowania trwałego pokoju i całkowitego zakazu produkcji broni masowego zniszczenia.

Od pewnego czasu agencje informacyjne o atakach prasy albańskiej na

JAPOŃCZYCY NA RENIE

„Jakość waszych wyrobów nie odpowiada naszym standardom” — tej treści pismo otrzymali dyrektorzy firmy „Vera Radio” w Stuttgarcie, której wyroby cieszą się najwyższym uznaniem, od swoich nowych gospodarzy. Firmę kupił japoński elektroinżynier gigant „Sony”. Coraz częściej i nieopatrzenie przemysłowcy i kupcy z Kraju Wschodzącego Słońca lokują swoje wyroby na cudzych rynkach.

Kiedy kilka lat temu w Düsseldorfie rozpoczął działalność Europejski Zarząd Firm Japońskich, wydarzenia tego nie odnotowano w RFN jako godnego uwagi. Wkrótce okazało się jednak, że już ponad 200 japońskich firm handlowych i przemysłowych otworzyło w Düsseldorfie swoje filie. Kupcom z Dalekiego Wschodu pomagają w rozwijaniu działalności handlowej: Japoński Ośrodek Handlowy, Handlowe Towarzystwo RFN — Japonia, Japońska Izba Handlowo-Przemysłowa, Japoński Towarzystwo Sprzedaży Obrabiarzy i Europejskie Biuro Towarzystwa Przemysłu Elektronicznego Japonii. Dosyć sporo...

Jednym z najważniejszych obiektów przyciągających uwagę japońskich firm w zachodniej Europie jest bankierstwo. W bankach RFN Japończycy ulokowali 152 miliony dolarów. W budowę maszyn w RFN zainwestowali 12 milionów dolarów, a w handel działkami ziemi i budownictwo mieszkaniowe — 10 milionów dolarów. W 1974 roku suma inwestycji firm japońskich z granicą sięgała, według danych japońskich, ok. 11 miliardów dolarów (jest ona wyraźnie zaniżona). 20 procent tej sumy przypada na zachodnią Europę.

Ośrodkowi w Düsseldorfie podlega również wiele europejskich filii firm japońskich, działających poza granicami RFN. Do tradycji europejskich rynków i ich mechanizmów zbytu doskonale umiała się przystosować firma „Seiko” — produkująca zegarki, koncern „Nikon” — wytwarzający aparaty fotograficzne i filmowe, samochodowa kompania „Mazda” i słynny koncern „Sony”. Ostatnimi czasy bardzo szybko rozrasta się filia kompanii „TDK Electronics”. Był czas, kiedy w handlowych kołach zachodniej Europy do rosnącego zagrożenia ze strony japońskich firm odnoszono się bez troski. Charakterystyczne to pewne wydarzenia Któregoś roku, były właściciel zachodniemieckiej firmy „Zeiss-Ikon”, F. Hessler, publicznie wyśmiał przemysłowców RFN, którzy mówili o japońskim niebezpieczeństwie handlowym. W ciągu kilku lat jego fabryka, pod naciskiem biznesmenów z Dalekiego Wschodu, została zmuszona do zaprzestania produkcji aparatów kinowych i fotograficznych oraz przekwalifikowania na produkcję automatycznych zamków do drzwi.

Chiny i rozwinięciu się ostrej polemiki. Dodają przy tym, że nieporozumienia między Tiraną i Pekinem narastały od dłuższego okresu, a teraz weszły w fazę, której następstwem może być zerwanie ścisłych związków. Jedną z ważniejszych przyczyn tej sytuacji jest podobno polityka zagraniczna Pekinu. Albania przyswoiła sobie koncepcję „czwórki” i w tym kierunku sterowała. Tymczasem ostra krytyka „czteropobowej bandy” i wyeliminowanie jej wpływów przez bardziej pragmatyczne skrzydło maoistów musiało obiektywnie spowodować rozdziewięki. Albania — zdaniem np. komentatora Tanjuga — nie zgadza się z chińską koncepcją polityki zagranicznej, opartej na tzw. teorii trzech światów. Nie odpowiada jej większe otwarcie polityki Chin, do czego ma ponać zmierzają nowe kierownictwo maoistowskie.

Mniejsza zresztą, czy jest właśnie tak, czy inaczej. Jedno jest pewne: po śmierci Mao stosunki albańsko-chińskie zaczęły się wyraźnie psuć, a ataki na Pekin, podjęte przez „Zeri i Popullit”, świadczą o tym, że przywódcy albańscy postanowili demonstracyjnie owe rozbieżności ujawnić. Jest to z wielu względów interesujące i zasługuje na baczniejszą obserwację.

W. SŁAWSKI

ŻYCIOWY REKORD

Lipiec nam słońca poskąpił, ale w sporcie działo się to i owo, czyli jest nad czym się zastanowić. Bo to i V Ogólnopolska Spartakiada Młodzieży odbyła się, a odbyła się ona pod hasłem szukania talentów sportowych na Igrzyska Olimpijskie w Moskwie. I jesienna runda pierwszej ligi już się rozpoczęła. I polskie drużyny w Pucharze Lata nie tak źle znów wypadły. Kolarze walczyli o górskie mistrzostwo Polski. Inni nasi kolarze z Mieczysławem Nowickim odnoszą sukcesy w wyścigu dookoła Nadrenii. A wreszcie w Bydgoszczy odbyły się mistrzostwa Polski w lekkoatletyce. Na brak sportowych wrażeń nie można narzekać. Tylko, czy jest się czym cieszyć?

V Ogólnopolska Spartakiada Młodzieży była imprezą gigantyczną i wiele ciepłych słów skierowano pod adresem organizatorów, a sporo słów krytyki pod adresem regulaminów i systemu punktacji generalnej. System ten daje bowiem większe możliwości silnym województwom, a mniejsze małym, młodym, nie tak dawno utworzonym. Rywalizacja między województwami jest niewątpliwie czymś pozytywnym, ale na OSM trzeba też patrzeć pod kątem tego, co ona w ogóle daje polskiemu sportowi. Czy przynosi sportowe odkrycia i co się z młodymi talentami dzieje?

Jak twierdzą obserwatorzy, w Łodzi wystąpili też młodzi zawodnicy, którzy debiutowali bądź w Białymstoku, bądź cztery lata temu w Krakowie. W zasadzie to prawidłowość i można się z tego tylko cieszyć. Ale też niektórzy z młodych zawodników dali się już poznać na ogólnopolskiej arenie sportowej, a inni z kolei nie potwierdzili swoich sukcesów z Białegostoku czy z Krakowa. I to musi zastanawiać.

Zastanawiać to musi tym bardziej, że w Bydgoszczy — na Mistrzostwach Polski w lekkoatletyce — rewelacji nie było. Padł jeden rekord Polski. Zdobyła go Grażyna Niestój w pięcioboju, ale wynik nie jest nadzwyczajny w skali światowej. Władysław Kozakiewicz znów próbował pobić rekord świata w skoku o tyczce, ale znów bez powodzenia. Jego upór godny jest pochwały i miłej nadziei, że wreszcie przy kolejnej próbie uda mu się ten rekord pobić. Jacek Wszola natomiast nadal nie może odzyskać dobrej formy, a Bronisław Malinowski nabawił się kontuzji. Na dwa tygodnie przed Pucharem Europy w lekkoatletyce. Na szczęście kilku innych zawodników swoją formę potwierdziło. Tylko, czy utrzyma ją do Pucharu Europy?

Miałam już okazję pisać, że nasi mistrzowie lekkiej atletyki nie mają licznej grupy następców, że za nimi nie stoi wielu, groźnych rywali, którzy tylko czchają na okazję, aby odebrać im tytuł i sławę. Mistrzowskie zawody w Bydgoszczy uwagę tę potwierdzają. Cóż z tego, że wielu młodych ustanowiło swoje życiowe rekordy? Sprawodawcy bardzo tym się ucieszyli i wielokrotnie to podkreślali. To wskazywałyby, że młodzież lekkoatletyczna rozwija się, że robi postępy, ale istotna jest odległość rekordu życiowego od poziomu krajowego, europejskiego, światowego.

Z braku istotnych sukcesów zwykliśmy się zadowalać namiastkami. Na przykład na meczu piłkarskim bardzo emocjonujemy się „optyczną przewagą”, liczymy stosunek rogów, co ma nas pocieszyć i zastąpić niezbyt korzystny wynik. A niestety na boisku liczy się wynik. Oczywiście, trzeba się cieszyć, że zawodnicy biją życiowe rekordy, ale w końcu, jeśli już decydują się na uprawianie sportu wyczynowego, to doskonalenie formy, techniki i dbanie o stały rozwój jest ich podstawowym obowiązkiem. Nie wolno więc zadowalać się namiastkami, nie wolno minimalizować wymagań. Trzeba ciągle mobilizować do coraz lepszych wyników. Tak mi się przynajmniej wydaje i wydaje mi się, że mam chyba rację.

W sobotę, 30 lipca 1977 roku odbyła się następna kolejka ligowych rozgrywek, w której występowały obie łódzkie drużyny. Jeśli jedynastka LKS pokazała dobrą i skuteczną grę, pokonując 3:0 zespół poznańskiego Lecha, to RTS Widzew przewodził z Mielca tylko jeden punkt oraz... czerwoną kartkę. Wprawdzie tym razem obrona Widzewa dobrze poradziła sobie z renomowanym atakiem mieleckiej drużyny, ale to ciągle jeszcze mało. Wszystko wydaje się wskazywać, że RTS Widzew nadal nie osiągnął formy z ubiegłego sezonu, że nadal musi pracować, aby ten cel bezwzględnie osiągnąć. No i żadnych więcej czerwonych kartek!!!

BOGDA MADEJ

LEKTURY NA LATO



Rys. Janusz Szymborski-Głone

Niczym dalekie echo przytłęło nagle wspomnienie Wrocławia. Wywołał je nocny telefon, terkoczący nierzadym natretnym świerszczem. Mówił jakiś przytłumiony głos, którego nie pamiętałem. Ktoś powtarzał kilkakrotnie obce dla mnie imię, odwoływał się do naszej zżyłości. Gubiąc resztkę snu, wracałem do rzeczywistości.

— Nie nie rozumiem, proszę powtórzyć jeszcze raz.

— Stary, naprawdę nie pamiętasz? Pracowaliśmy razem w szpitalu imienia Biegańskiego we Wrocławiu.

— Istotnie tam pracowałem.

— Właśnie. Ja byłem w prosektorium, załatwiałem ci u gospodarzów mieszkanie przy pralni. Teraz już wiesz?

— Nie bardzo. Oprócz tego, że pracowałem w tamtym szpitalu, niewiele pamiętam.

— A „zimnego chirurga” pamiętasz?

— Aaaa!

— Wreszcie. Jak bożę kocham, myślałem, że nie przypomnisz. Od ładnych paru minut klaruję co i jak, a ty jakbyś miał zamknięcie.

— Gdzie jesteś? — pytam, spoglądając na zegarek wskazujący czwartą nad ranem.

— Na dworcu. Zaraz, jak się ten dworzec nazywa? Cholera, zapomniałem, a z budki nie widać.

— Nie szkodzi. Opisz go.

— Dworzec jak dworzec: budynek, perony. Aha, tu jest dużo schodów, wiesz, ułożone jak tarasy...

— Wystarczy. Weź taksówkę i przyjeżdżaj.

— Tak też myślałem. Przyjechałem na jeden dzień i zaraz z powrotem. A jak już jestem, to pomyślałem sobie, czy czasem nie mieszkasz w tym mieście, bo kiedyś wybierałeś się na studia. Wyobraź sobie, od razu znalazłem twój numer w książce telefonicznej.

— Tam jest także adres.

— Już go sobie przepisałem. No to, stary, zaraz będę.

Jakiś czas siedziałem bez ruchu usiłując przypomnieć twarz człowieka, nazywanego przez nas „zimnym chirurgiem”. Na filmie przesuwającym się przez moją pamięć ukazywała się jedynie Anielka leżąca na podłodze z przekrzywioną głową i ktoś drugi, nieprzychylny mi, groźny, kogo w żaden sposób nie umiałem zidentyfikować ani umiejscowić w czasie. Do diabła — pomyślałem — przyjeździe, to sobie przypomnę.

Ubrałem się, wstawiłem wodę na kawę. Przybyszący człowiek był mi najzupełniej obcy, choć zjawiał się z ciemnych zakamarków mojej młodości, której był nieodłączną częścią. Niestety, niczego nie przagnąłem od przeszłości. Zapomniałem o niej szybko, oddaliłem się od niej na tak niebezpieczną odległość, iż zaczynałem czasami wierzyć, że jej wcale nie było. Może był kiedyś sen, długotrwałe złudzenie następczyni bez troski i ambicji, omam wywołany intensywnym pragnieniem czułości nad sobą samym.

W kuchni zagwizdał czajnik i gwizd wzniósł się coraz wyżej by w końcu stać się nieznośnym, bolesnym piskiem.

Noc podchodziła ku końcowi. Dotychczasowa czerń zmieniła nieprzychylną szarość. Uliczne latarnie jakby przystęły, rozmydliły się w nadciągającym rozproszonym świetle. Z góry wyraźnie widziałem chodnik, ulicę i podjeżdżającą taksówkę, z której wysiadł ktoś w kożuchu, z małą teczką w ręce i zniknął w korytarzu. Przez ścianę doleciał mnie szum przywoływanej windy.

Dzwonek u drzwi. Otwieram je na całą szerokość. Zdumienie nie pozwala na słowa: na korytarzu stoi dość tegi facet i szczipła, mała kobieta z doleczkami w policzkach.

— Nie poznajesz? — pyta mężczyzna. — Witek Szkłowski, ten sam „zimny chirurg”, u którego popijałeś spirytus.

Milczę i nie ruszam się. Uważnie oglądam kobiety szybko i z wprawą objęły moją twarz, przesunęły się po sylwetce, pobięły w głąb mieszkania.

— Ach, zapomniałem! To Inga, moja, jakby to powiedzieć, prawie żona.

— Inga wyciąga rękę.

— Nie przez próg! — krzyczy Witek.

— Inaczej jedno z was prędzej umrze!

Ze śmiechem wchodzi do przedpokoju, rozbiierają się zostawiając mokre plamy na płytkach podłogi.

— Dziwisz się? — pyta Witek.

— Nie poznajesz? Ty także się zmieniłeś. Bardzo się zmieniłeś. Chorujesz?

— Skąd ci to przyszło do głowy! Rozbudziłem mnie w środku nocy i chciałem bym wyglądał kwitnąco.

— Mówię ogólnie.

— Daj spokój! — wtrąca się Inga.

— Ledwo przyszliśmy, a ty zaczynasz.

W głosie Ingi brzmiał obcy akcent, choć wyraża się poprawnie. Niemka? Prowadzę ich do pokoju, robie kawę, kraje wędlinę i stawiam wodkę.

— Nadal pijesz? — pyta Witek.

— A ja, bracie, spasoowałem. Zawał, rozumiesz? Ledwo się wytrzymałem. Inga może, jej niemiecka natura nie reaguje na polską wódkę.

— Proszę mu nie wierzyć, nie jestem alkoholikiem.

— Nie wierzę — odpowiadam i unoszę kieliszek.

— A wiesz, że to wszystko jest takie dziwne — mówi Witek.

— Ludzie się znają, żyją wspólnie, co tam razem robią, potem na parę lat giną sobie z oczu, a po ponownym spotkaniu się, niewiele mają sobie do powiedzenia.

— Łączy nas przeszłość, a przeszłość to zapomniane groby naszych spraw i doznań. Wszystko zostało zasypane piaskiem niepamięci.

— Ładnie pan to powiedział.

— Więc nie dokonujemy ekshumacji naszej młodości. Jeszcze po jednym.

Inga pije bez słowa, nawet się nie krzywi.

— Zostałeś dziennikarzem — mówi z pełnymi ustami Witek.

— A ja, bracie, ciągle przy trupach. Tylko w prosektorium widzi się prawdziwą równość. Nie ma tam ani prezysów, ani docentów. Jest cisza i jestem ja ze skalpelem.

— Więc na równość należy czekać do śmierci, czy tak?

— Na to wygląda. Wiesz, czasami, kiedy nie układa mi się z lekarzami, to w duchu życzę im, by trafili do mnie na stół. Wówczas zapytałbym o ich rację, o ich wyższość nade mną, o ich poczucie siły.

— Przystań — mówi Inga.

— Stałeś się nieczuły. Twoje uwagi mogą krępować.

— Co ty? Piotrek to stary kumpel, otarł się o nasz fach. Mówię ci, to twardy facet.

— Może kiedyś byłem twardy, ale życie zrobiło ze mnie plastelinę.

Inga z uwagą wpatruje się w moją twarz i to jej spojrzenie jest nie do zniesienia. Nie wiem, czy jest w nim aprobata, ironia, czy potępienie. Szare, dość ładne oczy stają się nieruchome, puste, bez wyrazu. Bodaj jakikolwiek przeblysk, ruch, trzepot powiek — nic. Z bliska mogę wyraźniej przyjrzeć się jej twarzy. Jasna, prawie biała cera, rudawe proste włosy, pełne policzki z dołkami, nos z wyraźnym garbkiem. Takie twarze mają ludzie o stanowczych charakterach, rzeczowi, nie poddający się omamom wyobraźni.

— Przyglądasz się Indze i zastanawiasz, skąd taką sobie wytrzasnałem. A to proste i zwyczajne. Jej mama wyszła za Polaka i przyjechała na Dolny Śląsk. Inga była mała, miała chyba z dziesięć lat, jak znalazła się w Polsce. We Wrocławiu, już po twoim wyjeździe, zaczęła uczyć się w szkole dla polonijnych, pamię-

Tydzień Piotra Sokala

EUGENIUSZ IWANICKI

tasz? Przy placu Prostokątnym. Poznaliśmy się, kiedy przyszła do szpitala na praktykę. To wszystko.

— Jest pani położną?

— Tak, pracuję w przychodni dla matki z dzieckiem. Pobierzemy się jak tylko otrzymamy mieszkanie.

— Wpłaciłem parę lat temu — przerywa Witek. — Ale sam wiesz, jak to jest.

— Wiem — mówię. — Życie mnie nie rozpieszczało. No, co? Jeszcze po jednym?

— Nie dawaj jej tyle — bierze mnie za rękę Witek. — Ona po wodce źle spija.

— Przesadzasz — mówi Inga i wypija. — Ta wódka jest wyjątkowo dobra.

Za oknem wstaje wczesny rano. Kontury dalekich wieżowców przysłania szara mgła. Metny świt wypełnił ulicę i rozrzedził świecące jeszcze lampy.

— Może się położycie? — proponuję. — Parę godzin snu dużo znaczy w waszej sytuacji.

— Daj spokój — macha ręką Witek. — Przecież już dzień.

— Chętnie się położę. — Inga wstaje i zaczyna wyjmować z torby ręcznik, mydło, szcztękę do zębów, jakieś laszki.

Idzie do łazienki. Zostajemy sami.

— Wiesz — mówi Witek. — Nasze spotkanie, to nie tylko ciekawość z mojej strony. Bo widzisz, stara znajomość obowiązuje, no nie? Mogłbym napisać list, ale nie wiedziałem gdzie mieszkasz, nie pamiętałem nawet nazwy zadupia, z którego pochodzisz. Dopiero po przyjeździe tutaj, zacząłem sobie coś przypominać. Znalazłem. Widziałem, miałem jednak szczęście.

— Dobrze, że zadzwoniłeś, przynajmniej nie jestem sam.

— Szukałem cię, daję słowo. Może to dla ciebie nie ma znaczenia, ale musiałem to zrobić. Pamiętasz Kitajca?

— Kitajec? Czy to ten, co wtedy Aniele...

— Ten sam. Na dniach wyszedł, sam go widziałem.

— Może ci się przywidziało?

— Chłopie, za kogo mnie bierzesz? Jakiegoś faceta, trzy tygodnie temu, mówią, że jakiś facet chce się zobaczyć z Piotrem Sokalem. Tak naprawdę, to nikt cię tam nie pamięta, szczególnie ci, co przyszli później. No więc szukaj Piotra Sokala najpierw na salach chorych, potem wśród sanitariuszy. Gdy mi powiedziano o tym, od razu pojąłem w czym rzecz. Poszedłem na portiernię. Poznałem go od razu, po tych jego złodziejskich oczach poznałem. Nie ma — mówię — już Piotra Sokala, umarł kilka lat temu. Sam go patroszyłem, mówię, rozłożyłem na czynniki pierwsze. Kitajec jakoś tak popatrzył, powstał chwilę. Na co umarł? — pyta. Na śmierć — mówię. — Był u nas sanitariuszem, lyknął przez pomyłkę nie to lekarstwo co trzeba. Kroiłem go — mówię. — A co, może to krewny?

— Kitajec zaśmiał się nieszczerze, wsadził ręce w kieszenie. Krewny — powiada. — Z pierwszej linii! Grałem dalej, choć ciebie na portierni gapił się na nas bezczelnie. Proszę przyjąć — powiadam — wyrazy szczerzego współczucia. Był to dobry chłopak, ten pański krewniak, pomagał czasem.

— Witek! — zawołała Inga wychylając się z drzwi łazienki i ukazując nam mocne, pełne piersi z bladymi, żółtymi brodawkami sutek. — Podaj mi wodę kolońską. Jest w mojej torbie.

Stała z wyciągniętą ręką, mokra i pełna, nie krępując się obcego mężczyzny. Pod pachą żółcił się kłęb jasnych, zmierzwiłonych włosów.

Witek podał jej buteleczkę i coś powiedział. Inga spojrzała na niego ze zdziwieniem i jeszcze bardziej wy-

sunęła się z drzwi. Teraz widziałem połowę jej białego ciała, może nie o wymiarach Wenus z Milo, za to zbudowanego solidnie, na mocnych nogach.

— Nagość nie jest wstydem — powiedziałem — skrzywił się Witek. — Tyle lat, a nie mogę się z tym oswoić.

— Ci protestanci mają dziwne zwyczaje — skrzywił się Witek. — Tyle lat, a nie mogę się z tym oswoić.

— Może jednak wypijesz? — zapytałem, by bodaj na moment odebrać swoje myśli od Ingi.

— Dziękuję, nie chcę ryzykować. Na czym to skończyłem? Aha, na tym, że umarłeś. Więc Kitajec został jeszcze trochę, pokręcił się, widział mnie dowierzał, w końcu poszedł. Zaraz pomyślałem, że zacznie cię szukać. Na pewno mi nie uwierzył. Tacy nikomu nie ufają, sami muszą wszystko sprawdzić, zbadać, przekonać się.

— Odsiedział swoje i koniec. Niech rozpoczyna życie na nowo.

— Tak myślisz? Byłeś jedynym świadkiem, który go rozpoznał. Ty jeden twierdziłeś, żeś go widział u tamtej dziewczyny. Jego i Parowę. Ale Parowa wyszła parę lat temu i więcej się nie pokazał. A ten Kitajec szuka ciebie. Uważa pewnie, że rachunki nie zostały zupełnie wyrowwane. Ostrzegam cię, Piotrek, miej się na baczności.

— Przecież mnie nie zabije? Przez tyle lat miał czas by zmądrzeć.

— Nie znasz ich. Tacy nie przebaczą.

— Będę się bronić.

— Jak? Na pięści?

— A choćby.

Witek popatrzył na mnie uważnie i nagle się roześmiał.

— Człowieku, z czym do gościa? Z tymi rączkami inteligenta?

— Kiedyś potrafiłem rozkładać silniejszych ode mnie.

— Kiedyś to ja mogłem wypić litra i iść na tańce.

• Zamikliśmy. Witek miał rację: z dawnego opalonego chłopca, który nie stronił od bójk, pozostało wspomnienie. W spotkaniu z Kitajcem na pewno nie miałbym żadnych szans. Ale i Kitajec nie jest tym, który wówczas przejechał brzytwą przez gardło Anieli. Czas wyrównał nasze szanse, jakby przygotowując nas do ponownego, ostatecznego spotkania.

— Mimo to, nie wierzę — powiedziałem. — Minęło tyle lat...

Wyszła Inga, ubrana w jakiś przeźroczysty komplet, przez który prześwitywały sutki i przyściemnione łono. Zbliżyła się do stołu, wzięła swój kieliszek.

— Pusty?

Nalałem. Przechyliła szybkim ruchem i wytarła usta wierzchem dłoni.

— Gdzie mogę się położyć?

Wskazałem na tapczan, z którego podniosłem się przed ich przybyciem. Nie zdążyłem go zasłać, rozciągnąłem jedynie narzutę.

— Nie lubię spać sama. Mam straszne sny.

— No już dobrze, dobrze — skrzywił się Witek. — Kładź się, szkoda czasu. Obudzę cię przed ósmą.

Jeszcze popatrzyła na butelkę, muśnięła wzmokiem swoją twarz i bez pośpiechu poszła do sypialni.

— Teraz możemy pogadać — powiedział Witek. — Taki szmat, czas, taki szmat...

Wstałem, by zagotować wody na kolejną kawę.

(cdn.)

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

KOSMICZNI BRACIA I ZIEMSCY KREWNI

Coraz więcej książek o problemach, którym początek na światową skalę dał **Erich von Däniken**. Także i polscy autorzy mają w tych sprawach wiele do powiedzenia. Drukowały „Odgłosy” i drukował „Przekrój” publikacje **Zbigniewa Błani**, który zresztą napisał całą książkę o UFO czyli Niezidentyfikowanych Obiektach Latających, **Dr Arnold Mostowicz** — bardzo rzetelny autor, o olbrzymiej wiedzy w tej dziedzinie — także przygotował już do druku książkę.

Była już głośna książka **Andrzeja Donimirskego** — uczciwa, rzetelna i obiektywna. Były i gorsze książki stanowiące niezbyt sensowną kompilację innych — przeważnie zagranicznych — publikacji.

Smutne tylko i dziwne, że z bodaj siedmiu książek Dänikena wydano w Polsce... dwie, i to — zdaniem specjalistów — właśnie najgorsze. „Wspomnienia z przyszłości”, w której młody autor popelniał parę nieścisłości, zbytnio ufając źródłom oraz „Oto mój świat”, będącą podsumowaniem i niejako

albumem fotograficznym jego poprzednich książek. W Polsce oczywiście nie tłumaczono.

W tej sytuacji rozprawianie o Dänikenu i jego teorii jest trochę rozmową gruchocą ze ślepym. Co prawda **Krajowa Agencja Wydawnicza** zapowiada na przyszły rok dwie książki Dänikena, ale póki co... Otóż właśnie. Póki co oficyna ta wydaje **Andrzeja Olszewskiego** „Na tropie kosmicznych braci” — czyli kolejną kompilację, w nakładzie 50 tys. egzemplarzy. Dla porównania podam, że „Oto mój świat” Dänikena wydano w... 5 tysiącach egzemplarzy.

Olszewski zebrał w swojej książeczce co bardziej znane historie (rysunki w Naczu, relief z Palenque, meteoryt tungska itp.), opisane już na tysiące sposobów. Posługując się zresztą wyraźnie informacjami z publikacji **prof. Hyneka**, cytując **Dänikena**, opowiada przez całe strony posługując się publikacją **Blumricha** na temat prorocstwa Ezechela... A jednocześnie „recenzuje”

młodzieńczą książkę Dänikena pisząc, że „rol się ona od błędów z punktu widzenia archeologii, historii, astronomii, biologii, medycyny. Spora ich część wytknęli szwajcarskiemu pisarzowi autorzy posłownia do polskiego wydania”.

Nie jest metoda Olszewskiego zbyt uczciwa, ale jest za to popularna. Otóż bierze się książkę Dänikena (ew. Hyneka czy Blumricha, choć o nie trudniej, bowiem nie są tłumaczone na polski), wyciąga się z niej interesujące, frapujące fragmenty, a potem dodaje się tzw. „racjonalnego sosu”, pisząc na koniec, że to bzdury.

Gdyby Olszewski przeczytał sobie na świeżo tę młodzieńczą i miejscami dość naiwną książkę Dänikena, jaką są „Wspomnienia z przyszłości”, to by zapewne dostrzegł jak nieporadnie i dziecinnie były „naukowe” komentarze „autorów posłownia do polskiego wydania”. I jak niewiele mieli oni Dänikenowi do „wytknięcia”.

Więc po co — kompilując własną książkę w sporej części

z publikacji szwajcarskiego pisarza — bając potem o „roju błędów”.

Przytacza się natomiast słowa wybitnego archeologa, którego autorytetu nikt nie podważa, ale który niestety potrafi patrzeć już tylko oczyma przyzwyczajonymi do mroku piramid. Profesor powiada: „Dla archeologa hipotezy te będą przedstawiały wartość tylko wtedy, gdy zostaną poparte rzeczowymi dowodami. Takich dowodów Däniken nie przedstawia”. Koniec cytatu.

I koniec dyskusji z wybitnym archeologiem, który w życiu nie przeczytał ani jednej książki Dänikena. Gdyby bowiem przeczytał choć jedną, nie rzekłby nonsensu, że „Däniken nie przedstawia dowodów”. Ale cóż! Póki KAW nie udostępni nam książek Dänikena, Hyneka, Blumricha i innych — będziemy czytać Olszewskiego. Chociaż? autora rehabilituje ostatnie zdanie jego książki: „Zaglądać w przyszłość, lepiej odłożyć papier i ołówki i zdać się na własną wyobraźnię”. Święta prawda, mój ty ziemski kuzynie!

WIDOK

ŻYCIE UMYSŁOWE

STARY, DOBRY ODCZYT

Sokrates mawiał ponoć: Nie będę piórem i atramentem zasiewał siew, które za sobą przemieć nie potrafiła i prawdy uczyć jak należy. Doceniał on wartość słowa podkreślonego modulacją głosu i wyrazistym gestem. Ponoć pismo wynosił bezpośredni kontakt z rozmówcą, w którego oczach poszukiwał błysku zrozumienia.

A Mikołaj Rej tak, nieco rubasznie, chwalił rozmowę z mądrzejszymi: „Dawno powiadają, iż lepszy jest zawždy głos, niż zdechła skóra, co ją na pergamin wyprawia”.

Waż Hugo Kollataj twierdził wręcz, że obcowanie z uczonymi więcej uczy niż czytanie wielu ksiąg.

Tradycja publicznych spotkań z ludźmi nauki wywodzi się z działalności licznych od połowy XVII wieku towarzystw naukowych. Powstały one głównie w Anglii i Francji, omijając pielegnację feudalnej tradycji i wrogie nowym, oświeceniowym tendencjom uniwersytetów.

W Polsce rozkwit publicznych odczytów przypadł badal na okres pozytywizmu. Faktem jest jednak, że dziś, w okresie triumfu elektronicznych środków masowego przekazu, w epoce „cywilizacji obrazkowej”, popularności dźwięku, telewizji, kina, reklam, video-kaset, spadło znaczenie żywych form popularyzacji wiedzy i kultury przez słowo mówione.

Ten smutny fakt potwierdziła obserwacja frekwencji na kilku-nastu odczytach i prelekcjach, zorganizowanych od maja do lipca przez **Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza i Towarzystwo Przyjaciół Łodzi**. Słuchacze nie zapełniali nawet połowy miejsc.

Czy odczyty mają dziś jeszcze szansę na przyciągnięcie publiczności? I czym mogą zdobyć sobie nowych zwolenników?

Wiadomo, że żywa mowa, dzięki swej ekspresji, wywołuje lepsze rozumienie niż druk. A co tworzy tę ekspresję? Chcąc uczyć naszą ustną wypowiedź lepiej rozumiała, automatycznie posługujemy się mimiką i gestami rąk, aby nabrała wyrazu. Wprowadzamy akcenty logiczne i uczuciowe, zmieniamy wysokość i natężenie głosu, zawieszamy go dla podkreślenia treści i rytmu. W ten sposób słowo mówione uaktywnia działanie wszystkich ludzkich zmysłów, gwarantując ściśle i bogate odtworzenie stanu umysłu nadawcy.

Shansa na pełne zrozumienie słowa jest więc tym większa, im więcej zmysłów angażuje nas środek przekazu. Tak orzynałniej twierdzi **Marshall McLuhan**. Tym samym, ten apologeta elektronicznych środków masowego przekazu stworzył, acz paradoksalnie, jakąś przesłankę nadziei na ponowny rozkwit... pre-

lekcji i odczytów! To zresztą nie jedyna sprzeczność w poglądach McLuhana, choć jeszcze bardziej kontrowersyjna jest inna teza tego badacza, pośrodku również... na poparcie odczytów. Zdaniem McLuhana mianowicie, kanał słuchowy jest z natury bogatszy od na przykład kanału wzroku.

Oznacza to, jak referuje autor „Sporu z McLuhanem” **Jonathan Miller**, że gdyby mowy nie wspierały inne zmysły, słuchający mimo wszystko otrzymaliby przekaz bogatszy od tego, jaki by odebrał jedynie za pośrednictwem oka. Można się z tym zgadzać lub nie, ale faktem jest, że te argumenty pozwalały wierzyć w niemieszalsność i żywotność różnych form popularyzacji nauki, kultury i oświaty przez słowo żywe. Ale wysilek odbiorcy jest mniejszy, a efekt bogactwa dzięki temu, że odczyty i prelekcje dają skrót wiedzy. Co więcej, i to jest bodaj ich największą społeczną wartością, umożliwiają realizację instynktu społecznego, potrzeby słuchania i dzielenia się myślami z innymi.

Zdaniem **prof. Kazimierza Wojciechowskiego**, autora książeczki „Popularyzacja wiedzy przez słowo żywe”, często nawet podświadome pragnienie słuchania innych czy wręcz podporządkowania się im, nadaje wspólnego przeżywania, są bodźcami do pójścia na odczyt czy prelekcję.

A pragnienie obcowania z nie-

znana osobowością? A ciekawość — w sensie pozytywnym — cudzego „ja”? Czyż nie mają znaczenia w procesie samowychowania i samokształcenia, skoro wiadome jest wszystkim, że poznajcie innych lepiej poznajcie siebie...? Jakże często znane tylko ze słyszenia, a poznane wreszcie bezpośrednio postaci wybitnych uczonych i działaczy stają się godnymi naśladowania wzorami!

Odczyty także, a nie jest to jeszcze ich ostatnia funkcja, organizują opinię społeczną, rozszerzają świadomość budzą krytyczne myślenie. Zwiększają więc człowieka ze środowiskiem, tak społecznym, jak i geograficznym. Wystarczy wskazać na rolę, jaką miały odczyty, ba, całe akcje odczytowe w latach 40 i 50. Na Ziemiach Odzyskanych był ważnym instrumentem działania politycznego i propagandowego, wlażyły ludzi ze sobą i z nową ziemią. To o tych czasach napisał **Jerzy Wilmański**: „Nie mieliśmy w torńskich wierszy Jesienina (za pensję starca) Notatnik Prelegenta). Było prosto i pięknie w tę deszczową jesień” („ZMP”).

Wreszcie nie będzie przesadą stwierdzenie, że popularyzacja wiedzy przez żywe słowo, rozwijając zainteresowanie dla wiedzy, spraw publicznych i dyskusji, nosząc człowiekowi prawo do własnego mózgu, sprzyja demokracji.

TOMASZ SOLDENHOFF

PROPOZYCJE

ECHO

Sporo już czasu minęło od polskiego festiwalu, był po drodze Kolorobrzeg z piosenkami żołnierskimi, ale echa festiwalu polskiego powracają nieustannie i to trzeba wpisać na konto sukcesów organizatorów. A festiwal w Opolu oddano w tym roku — jak to zapewne wszyscy dokładnie wiedzą — w pacht Komitetu do spraw Radia i Telewizji, a dokładnie Naczelnej Redakcji PR i TV. Również zbliżający się festiwal piosenki w Sopocie bierze we władanie tenże sam komitet, a jury tego festiwalu — przynajmniej jego części — stanowić będą naczelni redaktorzy redakcji muzyki rozrywkowej, zaproszonych telewizji zagranicznych i naszej. Organizatorzy zapowiadają szereg innowacji, co może korzystnie wpłynąć na imprezę, która również ponada w sztampe i stawała się coraz bardziej nudna. Mając już doświadczenia opolskie na względzie, organizatorzy mogą teraz pomyśleć o tym, aby dostarczyć publiczności z Opery Leśnej w Sopocie i przed telewizorami dużo dobrej zabawy. Taki cel zresztą deklarują.

Alle przygotowania do sopockiej zabawy nie są w stanie odwrócić zainteresowania od opolskich kontrowersji. Spór o Opole nadal trwa. Nawet Studio „Gama”

i Studio 2 do tego sporu włączyły się, chociaż palce maczali w opolskim dziele. Otóż w radio i w telewizji ogłoszone plebiscyty słuchaczy i widzów na najpopularniejszą piosenkę z Opola. Telewizyjne notowania były następujące: 2543 głosy — „Kolorowa jarmarki”, 1948 — „Modliwa o miłość”, 1383 — „Każdy może śpiewać”, 1312 — „Gdyby” i 817 — „Wiosna”. Publiczność radiowa i telewizyjna zgodna więc była z werdyktem dziennikarzy, którzy też przyznali nagrodę „Kolorowym jarmarkom”. Jury opolskie wszakże było innego zdania. W Opolu nie było takiej zgodności między opinią jury i publicznością jaka była w Kolorobrzegu.

Przyznam się uczciwie, że jakkolwiek bardzo podoba mi się odwołanie się radia i telewizji do opinii szerokiej publiczności, to wszakże nie bardzo rozumiem sensu tego gestu. Czyżby miało to być przyznanie się do pomyłki, do niedooceny? Bismom gest radia i telewizji — organizatorów przeciw opolskiego festiwalu — stawia jurorów w trochę niezbyt korzystnym świetle. Oczywiście, mają oni prawo do wyrażania swego poglądu, prezentowania swoich gustów, do tego ich powołano, ale co to nie tak.

Tadeusz Fredro przypomina w „Kulturze” wypowiedź jednego z jurorów — **Zbigniewa Adriańskiego**, który niska ocenę dana piosence „Jak się masz, kochanie” tłumaczył tym, że był to protest przeciw temu, że piosenka ta była już wielokrotnie odtwarzana.

Tadeusz Fredro przypomina więc jurorowi **Zbigniewowi Adriańskiemu**, że również inne piosenki tym razem wysoko przez tego jurora ocenione: „Bz, bz, bz” i „Hop, szklanka piwa” też nie były nowościami, a piosenka Marka Grechuty „Hop, szklanka piwa” była rok wcześniej prezentowana w tymże Opolu. Więć jednak coś nie tak...

Istotnie, coś nie jest tak, jak trzeba również w opiniach niektórych ludzi piszących o Opolu. Pomijam już dość różnorodność sady o przygotowaniu poszczególnych dni festiwalowych. Taka różnorodność gustów jest normalna i nie ma w tym nic dziwnego. Natomiast zupełnie nie mogę zrozumieć na przykład Marka Wieroskiego, który w tygodniku „Ekran” napisał między innymi:

„Lansowany uparcie przez radio przebrój „Kochanie, jak się masz” spotkał się z pełną dezaprobatą wieloletniego widowni polskiego amfiteatru. Natomiast entuzjastycznie przyjęto wykonana przez Marka Grechutę piosenkę laureatki pierwszej nagrody „Hop, szklanka piwa”. Song o ciszy”, z muzyką Zarzyckiego, tylko z pozoru przeciw trudny dla nie wtaimniczonego odbiorcy. To o czymś świadczy”.

Przed wszystkim świadczy to o metodzie naginania faktów do góry przyjętej tezy. Wprawdzie piosenka zeszłou „Happy End” ma trochę inny tytuł, ale to drobna omyłka. O to nie warto się sprzeczać. Natomiast z wyraża-

nem dezaprobaty było trochę inaczej. Gwizdano wrzawie ale zupełnie w innym miejscu niż się to Markowi Wieroskiemu wydaje. Z entuzjazmem dla nagrodzonych piosenek też inaczej było. Oto opinia naczonego świadka i uczestnika opolskiego festiwalu. **Łucja Prus** odpowiada na pytania **Bogdana Moźdzysłkiego** na łamach „Sztandaru Młodych”:

B. Moźdzysłki: — „...śpiewa Janusz Laskowski, publiczność nagradza go wielkimi brawami, jurory oceniają najniżej. Śpiewa **Łucja Prus**, brawa są grzeczne...”

Łucja Prus: — „...Jest pan uprzejmy. Część widowni gwizda...”

To rozumiem. Nieprzyjemne, ale zgodne z faktami stwierdzenie. Po co przeczyć faktom? W jakim celu? Wydaje mi się, że radio i telewizja, odwołując się do radiowej i telewizyjnej widowni, rehabilitowało „Kolorowe jarmarki”. Gdyby jednak nie dziennikarze, gdyby nie ich nagroda, to myśle, że również i z piosenka Janusza Laskowskiego obehodzone by się bez pardonowo. Zawsze znajduje się tacy, którzy wbrew faktom będą glosili, że białe jest czarne. Niczym echo będą powtarzali już raz ogłoszone sady. Bo to i wygodnie, i myśleć nie trzeba. Inni już to zrobili. A jednak w tym Opolu coś było nie tak...

MARCIN RODAK



CANARIS

Osoba Canaris, szefa hitlerowskiej Abwehry czyli wywiadu wojskowego, budził wciąż zainteresowanie i liczne kontrowersje. Właśnie ukazała się nakładem „Książki i Wiedzy” książka **Jana Gajewskiego** pt. „Canaris”. Ponieważ o samym Canarisie naprawdę wiadomo bardzo niewiele jest to właściwie bardzo ciekawą i bardzo tajemniczym szefie.

Poznajemy więc akcje Abwehry, poznajemy jej strukturę organizacyjną i całą historię tej służby wywiadowczej — od I wojny światowej, aż do klęski Rzeszy. O Abwehrze krąży wiele mitów — także i u nas. Zwykle się na przykład przeciwstawia ją innym służbom wywiadowczym Rzeszy jak Gestapo czy SD — sugerując iż Abwehra była bardziej „rycerska”, mniej uwiłkiana w zbrodnie hitlerizmu.

Jest to oczywiście nieprawda, którą spopularyzował u nas głośny serial „Stawka większa niż życie”. Nie było to zresztą założeniem autorów, lecz po prostu wymogi dramaturgii scenariusza sprawiły, że „nasz człowiek w Abwehrze” obracał się w „lepszym towarzystwie” niż gestapowiec Brunner. Ale mitotwórcza rola tego serialu także w kwestii Abwehry jest niewątpliwa.

Warto więc przypomnieć słowa, którymi Gajewski kończy swoją książkę: „Nie nie usprawiedliwiła i nie rozgrzesza Canarisa, nawet jego meczcińska śmierć (zamordowany został w obozie koncentracyjnym we Flossenburgu, w sposób nawet jak na hitlerowców wyjątkowo okrutny). Gdyby jednak przeżył ostateczną klęskę hitlerowskiej Rzeszy z pewnością odpowiedzialny przed sądem jako jeden z przestępców wojennych”.

Abwehra bowiem świadomie służyła celom agresywnym i kierownictwo jej na czele z Canarisem miało pełne rozeznanie wywiadowcze że żadne z ościennych państw nie planuje napadki na Niemcy, nie przygotowuje się do niej, a tylko do obrony. Wywiad niemiecki zawsze miał charakter ofensywny, szacowny... Canaris te ofensywność wywiadu w okresie hitlerowskim jeszcze bardziej umocnił.

Sam temat „Canaris” na pewno wymaga pogłębienia, opartego na wnikliwych badaniach — a wiele twierdzeń zawartych w książce **Jana Gajewskiego** traktować należy tylko jako hipotezy. Jest to bowiem — szczerze mówiąc — próba naszkicowania tej postaci, bardzo ogólna i z pewnymi koniecznymi uproszczeniami. Ale lektura jest ciekawa i publikacja z pewnością bardzo potrzebna.

Jan Gajewski — „Canaris”, Książka i Wiedza, cena zł 20,—

MOSKWA

Napisać o Moskwie zwykły informator jest rzeczywiście niewygodnie trudną. Moskwa to miasto wielokrotne, ogromne, zróżnicowane — jak ujęte w wielość w zwykłym informator? Udała się ta sztuka **Olgierdowi Budrewiczowi** w jego książce „66 X Moskwa”.

Budrewicz opowiedział o Moskwie liczy równo 100 stron niewielkiego formatu zadruczkowanych garmondem a więc czcionką spora i umożliwiającą lekturę w autobusie, pociągu, metrze, muzeum na ulicy nawet...

Jest to opowieść o moskiewskich zabytkach, ulicach, muzeach, ale nie tylko. W książce **Olgierda Budrewicza** mamy również mini-felietoniki o ciekawych ludziach Moskwy — artystach, kosmonautach, o książce telefonicznej i o dworcach, o sporcie i o fabrykach, o pomnikach i enclantach... Wszystko to — napisane w sposób bardzo zajmujący, dowcipny, ilustrowane masą bardzo dobrych fotografii — czyta się naprawdę z ogromną ciekawością.

Szkoda tylko że nakład — 20 tys. egz. — jest zbyt mały, aby można nim obdzielić wszystkich tych, — którzy do Moskwy wybierają się na turystyczne wojaże. Wprawdzie jeszcze gdzieś gdzieś można te książki Budrewicza spotkać w prowincjonalnych księgarniach — ale z pewnością warta jest ona wznowienia.

Olgierd Budrewicz — „66 X Moskwa”, Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena zł 38,—

ALICJA NR 3

Zygmunt Zeydler-Zborowski nie produkuje „kryminałów” w takim tempie jak choćby **Jerzy Edigej**, ale też powieści Edigeja wnoszą więcej wiedzy o naszej współczesności. Powieści **Jerzego Edigeja** są oczywiście niezbyt wymyślne, ale rys obyczajowy w nich zawarty sprawia, że mówią one sporo i prawdziwie o dniu dzisiejszym.

Zupełnie inny jest natomiast wznowiony ostatnio „kryminał” **Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego** pt. „Alicja nr 3”. Czyta się te książki nawet dość gładko, ale często z irytacją. Bo przecież współczesna powieść — także kryminalna — musi się liczyć z realiami, nie może być bajką w swojej warstwie faktograficznej.

A jaki jest pomysł fabularny „Alicji nr 3”? Oto Komenda Główna MO wysyła do Rzymu, autora powieści kryminalnych, aby rozwiłktał zagadkę morderstwa dokonanego na agencie Interpolu. Wszystko co dalej jest bajeczką dla naiwnych dzieci.

W ostatnim rozdziale książki autor wysłuchuje opinii żony na temat „Alicji nr 3”. Żona mówi: „Dobrze się czyta. Bardzo mało prawdopodobne ale zabawne. Powinni ci to chyba wydrukować”.

Tym zdaniem dowiódł Zborowski swego poczucia humoru. Żona ma rację, książka jest mało prawdopodobna, i — okazywało się — wydrukowali! W dwóch wydaniach, w dwóch nakładach... Po 100 tysięcy egzemplarzy.

Zygmunt Zeydler-Zborowski — „Alicja nr 3”, KAW, cena zł 28,—

OPOWIADANIA ŁOPALEWSKIEGO

Czytelnikom ceniącym dobrą tradycyjną prozę polecamy opisy to opowiadań **Tadeusza Łopalewskiego**. Ten znany pisarz (urodzony w 1908 roku) debutował w wieku siedmiunastu lat na łamach prasy polskiej w Piotrogradzie jako poeta. Przed wojną wydał tom wierszy „Gwiazdy tańca” ale głównie zajmował się pracą redaktorską w wileńskiej rozgłośni Polskiego Radia oraz działał jako kierownik literacki teatru.

Po wyzwoleńcu Łopalewski mieszkał w Łodzi, gdzie był kierownikiem programowym łódzkiego radia. Znamy też także jako tłumacz (m.in. Czesława Saitykowa-Szczedrina) — jeszcze przed wojną otrzymał nagrodę im. Piłsudskiego za przekłady bylin rosyjskich.

W ostatnich latach **Tadeusz Łopalewski** poświęca się głównie prozie. Kilkanście lat temu otrzymał Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za głośną powieść „Kaduk czyli wielka niemość”.

Wydany obecnie przez SW „Czytelnik” tom „Góra dawnych bogów” jest wyborem opowiadań stanowiących przekrój całej twórczości **Tadeusza Łopalewskiego** w zakresie tematyki współczesnej.

Tadeusz Łopalewski — „Góra dawnych bogów”, Czytelnik, cena zł 50,—

Kiedy słyszę, że jakiś aktor zagrał świetnie swoją rolę śmiech mnie bierze. Rozumiecie — zagrał rolę! A przecież ja każdego dnia, o każdej godzinie gram dziesiątki różnych ról, tylko, że o mnie nikt recenzji nie pisze. Ot — popatrzcie sami: Przed wami spis moich codziennych występów:

Kochający mąż,
Troskliwy ojciec,
Utalentowany inżynier,
Aktywny społecznik.
To są moje główne role. Ale są jeszcze role drugorzędne: Dowcipny gawędziarz, Zaciekle kibic, Filatelista doskonały, Telewidz wierny itd. itp.

Jak widzicie mam w swoim repertuarze więcej ról niż jeden sławny aktor. Tak dużo, że zaczynam je płać, czego nikt jakoś nie dostrzega. Nie bez podstaw jest stare teatralne powiedzenie: nie ważne co grasz, ale ważne jak grasz!

Ale darujcie — na mnie pora! Zaraz muszę wystąpić! Kurtyna idzie w górę!

Ranek. Ukośne promienie słońca zaglądają w okna przytulnego mieszkania. Cicho szmerze radio. Ktoś chrząpie w takt popularnej melodii. Na łóżku leży aktor w wieku lat 40. To ja! Pod ścianą — Helga. W drzwiach Olga — moja żona.

— Śniadanie gotowe — mówi i znika.

W mojej sztuce żona gra role epizodyczne. Jedną — dwie repliki i nie więcej.

Idę do kuchni, siadam za stołem. Ledwo tknąłem jajecznicę — czuję w zębach chrząst soli. W tej samej sekundzie występuję w roli Konsumenta Korzystającego z Usług Stołówki!

— Co to takiego? — pytam srogo — Kto przesolił jajecznicę?

— Nie wiem — odpowiada żona — To przypadek! — Dlaczego na skutek waszego roztrzęsania muszą cierpieć ludzie? Kto smażył jajka? Wezwaj!

Drzwi do kuchni otwierają się i wchodzi mała żona — w dawnych komediach zwana teściową.

— Czego się wydzierasz? — woła — Lewą nogą wstałeś z łóżka, czy co?

— A właściwie to od kiedy jesteśmy na ty? Póki co jeszcze nie jestem pani synem. Córke swoją można karmić czymś podobnym, ale nie mnie!

— Kola! — cicho wtrąca żona. — Może chcesz twarożku?

— Zjedzcie same! — krzyczy. — Taką jest moja replika. Idę do pracy.

Dzień. Wielki, jasny pokój, zastawiony kreślarskimi stoła-

mi. Nad jednym — pochylony człowiek. To ja! Przede mną sterta papierów — wykresy i zestawienia urlopów, spóźnień.

A. CHAIT

TEATR JEDNEGO AKTORA

do pracy, nie opłaconych składek na związki zawodowe, praca, na tyle mechaniczna, że nawet nie wiem jaką w tej chwili grać rolę.

W połowie dnia — kończę, po czym niosę stos papierów do dyrektora. W jego gabinecie też potop papierków. Leżą na półkach na biurku, w szafie. Od razu czuję się jak w studiu w roli Człowieka Oddającego Makulaturę na Punkcie Skupu.

— Proszę przyjąć — mówię gromkim głosem.

— Dziękuję — odpowiada dyrektor.

— Jak to — dziękuję? A talon gdzie?

— Jaki talon?

— Za makulaturę!

Dyrektor rozgląda się po pokoju i zniżywszy głos — powiada: — Kochany inżynierze, ja rozumiem, że ta pisanina to zajęcie nie dla pana. Ale co robić? Ktoś musi przecież wykonać. Pociępanie pan jeszcze trochę. Następnym razem podrzucę innemu.

— To skandal, żeby człowiek z wyższym wykształceniem robił jakieś tam bzdury. Jak długo będzie się to ciągnęło?

No, te ostatnie zdania to był taki mój „monolog wewnętrzny” deklamowany w głębi serca, w powrotnej drodze do własnego stołu kreślarskiego. Pokój pusty. Wszyscy poszli na obiad. Tylko przy moim stole stoi Lenoczka — studentka piętego roku, odbywająca w naszej firmie staż przeddyplomowy. Teraz powinienem zagrać rolę Solidnego Konsultanta Projektu. Ale kiedy tak patrzę na jej wdzięczną figurkę, na

delikatne policzki już ciut-ciut opalone słońcem wybieram rolę Bohaterskiego Amanta.

— No, słoneczko, co słychać? — pytam czule. — Dlaczego takie smutne oczęta? Zmęczona?

— Odrobnie — pada skromną odpowiedź. — Kreśliłam całą noc. Biorę ją za rękę i patrzę jej prosto w oczy.

— A może by tak dzień — dwa odpocząć, porelaksować?

— Co pan, co pan, Mikołaju Aleksiejewicz!

— więc nie dasz mi tych marnych czterdziestu rubelków?

— Odkładam gazetę i nagle budzi się we mnie Przewodniczący Kasy Zapomogowo-Pożyczkowej.

— Skąd mam wziąć czterdzieści rubli? Ja pieniędzy nie drukuję.

— Co cię ugryzło? Przecież nie proszę o dużo.

— No i co z tego? Tobie — daj, drugiej daj, trzeciej — daj! Wszystkie pieniądze kasy, towarzysko, rozdane.

Żona tutekła do kuchni, skąd dobiega jej płacz. Zdaje się — odrobnie przeszarżowałam. Nie dziwnego — było to setne przedstawienie opisanej sceny. Idę do kuchni, aby uspokoić Olę.

— Tak, tak — płacze żona — a mamusia tyle mi kładła do głowy — nie wychodź za niego!

Gdy tylko posłyszałem te słowa obudził się we mnie Kierownik Grupy:

— Mówię jasno — nikogo tu nie zatrzymujemy! Chcecie odejść? Proszę bardzo, drzwi otwarte! Znajdziemy drugą zastępstwo — młodszą i z lepszymi kwalifikacjami.

Wracam do pokoju i włączam telewizor. Nadają mój ulubiony serial „Knapka trzynastu krzeselek”. Kiedy na ekranie pojawia się artysta grający rolę Osoby Wiodącej — otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi chłopak lat około 12 czy też 14. To mój syn. Trzeba by zagrać rolę Troskliwego Ojca, ale nie jestem w stanie. Gram przecież Człowieka Siedzącego Przed Telewizorem.

— Tata — woła chłopiec. Chciałem ci coś powiedzieć. Tylko się nie denerwuj.

— Denerwować się? Przecież nadają ten komiczny serial: „Knapka Trzynastu Krzesel”.

— Pół godziny zdrowego śmiechu. — Tato, posłuchaj! Dzisiaj na lekcji znokautowałem tego Wańkę, bo napluł na mnie.

— Napluł — za co?

— Nie wiem. Ale ciebie na jutro wyzywają do szkoły.

— Kogo, mnie?

— Ciebie! Masz się zgłosić u pana dyrektora.

Chłopak coś dalej wyjaśnia, ale ja jestem pochłonięty monologiem pana Zyzia, który tak śmiesznie opowiada o zającach.

— Na lekcjach trzeba uważać — mówię podczas nadawania usterek. Jak nie bedziesz uważał to z ciebie wyrosnie nie profesor ale sportowiec. No, a teraz kładź się spać — powtarzam za panią Zosią, która śpiewa głosem Karela Gotta.

Zegar bije jedenaście. Scena pustoszona. Zmywam szminkę z twarzy i kładę się do łóżka — rozkoszując się dotknięciem chłodnej pościeli. Boże, jakże jestem zmęczony. A ktoś powiedział, że być artystą to lekkie życie!

(Literaturna Gazieta)

Tłumaczył: H. RUD



Foto: Archiwum

ANDRZEJ CZEKALSKI

NOCNY STARUSZEK

Gdzieś na wieży zegar wybija godzinę trzecią. Słychać wolne, człapiące kroczki Staruszka. Staruszek zatrzymuje się.

STARUSZEK: Uprzejmie pana przepraszam. Czy byłby pan w stanie zdradzić mi, która jest teraz godzina?

SPOŹNIONY GOŚC: Trzecia. Właśnie biała.

STARUSZEK: (przedrzeźnia go) Trzecia... Trzecia... A ja tam, proszę pana, w te dziesięć godzin nie wierzę. Każdy teraz inną panu poda, jakiegoś uzgodnienia nie ma. Raz, przyznam się, celowo do zegarynki zadzwoniłem. Pytam grzecznie, tak jak teraz pana: uprzejmie panią proszę, o podanie mi, która jest aktualnie godzina. Zaraz się czuję, że ona myśli o czym innym ale mówi: (przedrzeźnia) „piąta dwie”. A ja nic, tylko słuchawkę dalej trzymam przy uchu. To ona już po chwili: „piąta trzy”. Nie rezygnuję, dalej słuchawkę trzymam, chyba przez dobrą minutę. I co słyszę? Panią „piąta cztery” oznajmia. Znudziło mi się, odłożyłem słuchawkę. Ale sam pan widzi, przez krótki moment trzy różne czasy usłyszałem. A pan na nocny tramwaj czeka?

SPOŹNIONY GOŚC: (niechętnie) Tak. Czekam.

STARUSZEK: Wszyscy, panie, na coś czekamy. Ale co było to już nie wróci. Jak pan sądzi? Wróci czy nie wróci?

SPOŹNIONY GOŚC: (niechętnie) Nie wróci.

STARUSZEK: (wyraźnie ucieszony) A widzi pan! Nie wróci i już! (z niepokojem) A co nie wróci?

SPOŹNIONY GOŚC: (niechętnie) Co było.

STARUSZEK: Co było to każdy wie. Ale co będzie, tego nikt absolutnie nie wie. Co to ja chciałem powiedzieć?

SPOŹNIONY GOŚC: (bardzo niechętnie) Nie wiem.

STARUSZEK: Ale ja wiem! Którędy tu na Pogotowie? Bo tak sobie chodzę, chodzę i...

SPOŹNIONY GOŚC: (przerzywa mu) Pójdźcie pan prosto i druga przecznica na lewo.

STARUSZEK: Druga na lewo? (chichocze) Na lewo! Dzisiaj to wszyscy na lewo. I pogotowie na lewo i dentyści na lewo. Tylko mankiety na prawo. Pan pewnie też na lewo?

SPOŹNIONY GOŚC: (łodowatym tonem) Ja prosto.

STARUSZEK: Pan prosto... A wie pan, w czasie wojny japońskiej to ludzie szczyry jedli, a dzisiaj, proszę pana, zje kto szczyra? No? Zje czy nie zje?

SPOŹNIONY GOŚC: (resztką siły) Nie zje.

STARUSZEK: (wyraźnie uradowany) A widzi pan! Nie zje. A wtedy jedli, jedli... (zaniepokojony) Co to oni wtedy jedli?

SPOŹNIONY GOŚC: (ryczy) Szczyry!!!

STARUSZEK: Fe! Takie świąństwo jeść! No, to na mnie już czas. Prosto i druga na lewo. Przyjemnie tak pogawędzić. Dobranoc panu.

Staruszek człapiąc, oddala się wolno.

SPOŹNIONY GOŚC: (krzyczy) Proszę pana!

STARUSZEK: (wraca zaciekawiony) Co? Co?

SPOŹNIONY GOŚC: (dobiega do niego) Przecież pan ma... tu z tyłu... wbiły w plecy nóż...

STARUSZEK: A mam, mam... Przecież mówiłem, że idę na Pogotowie. No, to ja pomalutku... Dobranoc panu.

Słychać oddalające się kroczki Staruszka, który nuca sobie pod nosem.

Z dala nadjeżdża nocny tramwaj.

JACEK SAWASZKIEWICZ

KONIEC SEZONU

Korytarz był długi, tak długi, że okno na jego końcu, zapalone słońcem, wyglądało niczym miniaturka odbita w żrenicy. Posadzka ze sfaldowanego gumolitu usiłowała pochwylić tę iskrę światła, rozdzielić ją na części i poszerzyć.

Na dole, przed wejściem ozdobionym czerwona tablicą, gromadził się tłum ludzi o mokrych nosach i zaróżowionych policzkach. Stawali cicho, jeden za drugim, podnosili kółnierze, by ochronić watle szyje przed tchnieniem mrozu, deptali w miejscu, ubijając śnieg. Niektórzy palili. Rzadko zresztą, bo zimno psuło smak papierosa, przycięłał bibułek do suchych warg, a na zwilżonych językiem strzępiło naskórek.

Późnym rankiem, gdy mróz zelżał, zaś jarzeniówki rozlaśniły korytarz sopłami światła, drzwi wejściowe ustąpiły i ludzie mogli wejść. Przynieśli ze sobą dużo śniegu, który topniał skwapliwie i zostawiał na gumolicie kałuże biotnistej cieczy. Na schodach gaszono popieliszce papierosy, bo palących nie wpuszczano, a w kolejkę nie obowiązywała zasada zaraz-przechodzenia. Ci z tyłu bacznie obserwowali poruszenia poprzedników.

Nie rozmawiano. Czasem stęknęło, jak uderzenie ciężkiego worka o beton, dawało świadectwo czujności stojących, którzy spostrzegli ryzykanta próbującego chytrze przesuwać się o pare metrów do przodu. Kilka kopniaków, łomot snadającego po schodach ciała, posypywania, i intruz podnosił się ze śniegu, aby przygarbiony, ze wzrokiem, w którym csał się smutek, poczłapać w stronę, gdzie na horyzoncie ginał koniec czarnego ogonka.

Około południa, przez hol, trzymając się z dala od czekających, przemaszzerowała pielęgniarka.

— Proszę pani — szepnął zaróżowiony pięćdziesięcioletni oparłatek o zapadniętych policzkach.

Pielęgniarka przystanęła na sekundę.

— Obiekcje? — spytała martwo.

Mężczyzna wbił spojrznięty w obcasy sąsiada.

— Przepraszam — bąknął.

Stojący obok, położył dłoń na Jego kościastych ramionach. Poczekał, aż kobleta skinie pozwalająco głową.

— Stoję już dwa tygodnie — krzyzał mężczyzna pohany do tyłu wciąż dalej i dalej. — Jutro kończy się mój urlop! Nie mogę czekać! Nie mam siły! Niedługo idę na emeryturę! Proszę pani...

Wzrąk rozszalał ścianą, pedził wzduż korytarza za oddalającą się pielęgniarką, zdwoił rezonansem opraw jarzeniowych, cichi i narastał na

nowo, aż przeszedł w rytmiczne jęki na stopniach kręconych schodów i umilkł wreszcie, zduszony śniegiem.

Po zachodzie słońca drzwi wejściowe odcięły od wnętrza stojących na dworze. Kolejka rozrobiła się, napełniła. Rozkładano namioty i spiwory, dmuchano w matrace, włączano maszyny turystyczne.

Przy końcu korytarza zgrzytały drzwi. Ci, którym udało się wejść do budynku przestępowali z nogi na nogę. Sekretarka brała od wchodzących pliki zaświadczeń, podawała czyste formularze. Interesanci wypełniali je drżącymi rękoma, wyciągali kieszonkowe instrukcje, by sprawdzić ostatecznie, jakie słowo trzeba wpisać w odpowiednią rubrykę. Potem wpalali należność do kasy i składali pokwitowania na stole. Goniec zanosił je do sąsiedniego pomieszczenia.

— Rozbić się. Łażnia na prawo. Wchodzić po trzy osoby — powtarzał w kółko głosnik.

Z rzecznikami pod pachą szli do dentystry, który przeglądał im zęby, do felczera, żeby zrobić lewatywę, do fryzjera, kosmetyczki, manicurzystki, a po natrysku — do masażysty.

Ordnator przyjmował ich pojedynczo. Z pliku formularzy wybierał właściwy, zerkał na sam dół, a później długo szacował okutanego w ręcznik nagusa.

— Na pana miejscu zrezygnowałbym z żeber — doradzał niekiedy. — Myślę, że przedramię będzie w sam raz.

Albo:

— Szczeka? Szczeka długo się zrasta. Może podudzie? Efektowny widok i nie przeszkadza w jedzeniu.

— Nogi nie są już modne — uśmiechał się lokajsko delikwent.

— Jak pan uważa... Jeszcze tylko podpis uwierzytelniony przez sekretariat, i na stół.

Sale chirurgiczne były jasne i przestronne. Lekarze z dużą wprawą napełniali kadzile wodą i gipsem, rozwijali bandaże, zakładali zryw. Breja z gumolitu znikała wraz z kolejką czekających, zostawiała po sobie siwe plamy.

Budynek opuszczano osobną bramą. Ślepe okno na końcu korytarza, wskazywało drogę rzuconym na śnieg czworobokiem jarzeniowego światła. Niektórzy chcieli na chwilę wrócić do kolejki przed bramą, żeby dumnie przedelflować wśród ognisk i namiotów, lecz bezwzględny personel pomocniczy umieszczał ich w autokarze, gdyż wczesny już się dla nich skończyły, a pociąg, który miał ich zawieźć do domów, niecierpliwie czekał na sygnał odjazdu.



Rys. Andrzej Grun